



## PISMO TYGODNIOWE ILUSTROWANE DLA KOBIEĆ.

### Prenumerata w Warszawie:

We wszystkich księgarniach i kantorach pism periodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

### Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5, rocznie rs. 10.

Wydawca **MICHAŁ GLÜCKSBERG**

EKSPEDYCJA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Włodzimierska Nr. 4.

W Cesarstwie Austriackim we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80.

W Krakowie: u D. E. Friedleina; kwartal. flor. 2 cent. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół. kwartal. 5 marek.

## DZIECI I PRZYRODA.

Ile razy słyszę, że jacyś troskliwi rodzice dla edukacji dzieci przenoszą się do miasta, doznają takiego uczucia niesmaku i nerwowego podrażnienia, jakiego musi doświadczać wysubtelnione ucho użyżka, gdy słyszy piękny utwór muzyczny wykonany na nędznym, rozstrojonym instrumencie. Słowa te rażą mnie jako dysonans, jako streszczenie, jako wcielenie różnych anomalii życiowych (w tym razie anomalii pedagogicznych), które wywołać musiała nasza współczesna cywilizacja, rozwijająca się zbyt szybko, by mogła nie rozwijać się jednostronnie.

Rozumiem zresztą doskonale powody, które w obecnym czasie skłaniać muszą najtroskliwszych i najrozumnijszych rodziców do wychowywania dzieci w mieście. Powody te są czysto ekonomicznej i społecznej natury — nietylko z pedagogią nie mają nic wspólnego, lecz są z nią wprost sprzeczne. Przedewszystkiem pod edukacją nie rozumie się obecnie wychowanie, lecz tylko wykształcenie, to ostatnie zaś ma na celu wbrew zdaniu wszystkich sławnych pedagogów — nie pomyślny rozwój umysłowy, lecz uzyskanie patentów z ukończenia takich zakładów naukowych, które torują dzieciom drogę do korzystnych stanowisk, wstęp do sfer inteligentnych, słowem, umieszczają je na pewnym wyższym szczeblu w hierarchii społecznej. Że takie zakłady mieszczą się tylko w wielkich miastach, że tylko w miastach mieszkać i pracować mogą najbardziej uzdolnieni nauczyciele, że tylko tam ogniskuje się żywszy ruch umysłowy i t. d. — są to fakty ogólnie znane, będące przy-

tem wynikiem nie naturalnego porządku rzeczy wprowadzicie, lecz obecnych warunków społecznych.

Warunków tych, choćbyśmy byli najgłębiej przekonani o ich szkodliwym wpływie na rozwój młodych pokoleń, usunąć ani zmienić nie możemy. Na wytworzenie ich złożyły się długie lata i tylko z biegiem lat one znowu zmianie ulegz mogą. Mimo to jednak, a może właśnie dla tego, jest rzeczą niezmiernie ważną i potrzebną — poznać dokładnie ich stronę ujemną i właściwie ją ocenić, gdyż tylko dzięki temu będzie im można stale i systematycznie przeciwdziałać o tyle przynajmniej, by ich najszkodliwsze następstwa zneutralizować.

Bez względu na to, jak się dziś rzecz ma z tem co w potocznym języku edukacją nazywamy, jest dla wielu jasną rzeczą, że prawdziwie normalne i zdrowe wychowanie dzieci odbierać mogą tylko na wsi, tylko w zbliżeniu do przyrody. „La véritable education, la saine et joyeuse et vivifiante culture de l'enfant ne peut bien se faire, qu'à la campagne,“ mówi Laprade.

Ujemne cechy wielkomiejskiego życia znamy wszyscy, o zgubnym jego wpływie na organizm ludzki w ogóle, a dziecięcy w szczególności, pisano wiele, stosunkowo rzadziej zastanawialiśmy się nad tem, jak ujemnie ono oddziałuje na umysłowe siły, na moralny rozwój młodych pokoleń. Jest to jednak kwestya nietylko równie ważna, lecz może najważniejsza.

Gdy zestawiać będziemy potrzeby duchowe dzieci i ludzi dorosłych, miejmy zawsze to na uwadze, że tak samo jak organizm, tak i dusza dziecka jest jeszcze w stanie tworzenia się — wzrastania. Jak organizm jego nietylko pokrywać musi codziennie ponoszone straty, lecz zbierać jeszcze jakąś nadwyżkę dla zapewnienia sobie wzrostu i rozwoju, tak i dusza obficie i posilniej karmić i odżywiać się musi, siły swe skupiać, wzmacniać, potęgować, by ich do dalszego ży-

cia starczyło, by dobrze uzbrojoną przystąpić mogła do czekającej ją nieraz ciężkiej pracy lub niebezpiecznej walki. Dla tego też pracą dzieci rządzić musi zupełnie inna zasada, niż pracą dorosłych. Naszemu życiu tylko praca przez nas wykonywana nadaje wartość i znaczenie. Jeżeli ważne spełniamy zadania, możemy dla nich zdrowie poświęcać, życie skracać, nerwy wyczerpywać, o tyle tylko sił oszczędzając, by ich do ukończenia przedsięwziętego dzieła starczyło. U dzieci rzecz się ma wręcz przeciwnie; ich praca sama przez się nie ma żadnej społecznej wartości, posiada znaczenie tylko o tyle, o ile jest ćwiczeniem wzmacniającem i hartującym, o ile siły potęguje i wyrabia, kształci i rozwija. Jedynym ważnym zadaniem każdej jednostki ludzkiej w dzieciństwie i młodości jest jak najpełniejsze i jak najwszechstronnejsze udoskonalenie swego ja, doprowadzenie go do całej pełni życia, do rozkwitu człowieczeństwa.

Otóż zadanie to w wielkiem mieście jest niezmiernie utrudnione. Samo zwalczanie tych wszystkich przeszkód, które się z zewnątrz pod wpływem warunków społecznych gromadzą, pochłania tyle sił niepotrzebnie, że ich naturalny przyrost zapotrzebowania pokryć nie może. Tak zwany najszcześliwszy wiek staje się wiekiem niewoli, przymusu, ciągłej walki i nerwowego rozstroju, co wywołuje przedwczesne zmęczenie i wyczerpanie sił jeszcze nierozwiniętych. Weźmy najprzód pod uwagę stronę umysłową dziecka, zaczynając od tego, co podstawę umysłowego rozwoju stanowi, t. j. zmysłu spostrzegawczego. Czyż on może się wyrobić wśród tego nadmiaru luźnych i przelotnych wrażeń, jakich dziecko nieustannie wśród wielkomiejskiego ruchu i gwaru doznaje? Na ulicy dziecko spostrzeżga tysiące szczegółów, którym chciałoby się przyjrzeć, ale którym przyglądać się nie ma czasu, które pragnęłyby zrozumieć, ale których mu wytłómaczyć niemożna, które wreszcie nie

układają się w żadną jednolitą całość, są między sobą zupełnie pozbawione związku, a ztąd żaden z nich nie tłumaczy się sam przez się. Ulicą ciągnie pogrzeb, na podwórzu sąsiedniego domu gra katarynka, dwoje ludzi noszą długą drabinę, na fotelu z kółkami popychają paralytyka, cyklista jedzie na rowerze, na murze nalepiono olbrzymią jaskrawo kolorowaną reklamę—śliczny obrazek, na którym dziewczynka pije z filiżanki, psy się gonią, przekupki sprzedają warzywa lub kwiaty, a poza tem w każdej wystawie sklepowej, ileż ciekawych rzeczy! Ale od tego wszystkiego trzeba oczy odwracać i iść dalej—na spacer. Mój Boże, coż to za tortura taki spacer! Wzrok się męczy, myśl się rozprasza, nogi się trzusia, a ze wszystkich tych wrażeń coż w głowce pozostało? Straszny zamęt, mozaika barw i kształtów, pomieszana wrzawa odgłosów i wielkie wyczerpanie umysłu. Są dzieci miejskie, które nieraz bywają wieczorem na ulicy, a nigdy księżycy, ni gwiad nie widziały. Coż dziwnego? wszakże między brukiem ulicznym a szczytem kamienie wzrok ich chwytają tyle ciekawych a niezrozumiałych szczegółów, że wprost nie zdąży nigdy sięgnąć wysoko ponad kominy aż tam gdzie chmury płyną i niebo mrugającymi światłkami zasiane. Dzieci po prostu systematycznie uczą się nie uważać, nie patrzeć, nie zastanawiać, ślizgać się myślą i wzrokiem po powierzchni spotykanych zjawisk, a potem idą do szkół i szkółek, gdzie przez naukę pogładową nauczyciele i nauczycielki próbują kształcić ich zmysły, rozwijać zdolność spostrzegawczą, przytępianą przez cały tryb wielkomiejskiego życia. Bardzo wysoko cenią metodę pogładową, sądzą jednak, że wiele lepiej jest, gdy dziecko przysłucha się samo w skutek zainteresowania przedmiotem, niż gdy mu coś pokazują, a ono na życzenie starszych uważa. Myślę także, że nietylko milej, ale i pożyteczniej jest dla dzieci widzieć ptaszki w ogrodzie lub w lesie, słuchać ich śpiewu i wzrokiem lot ich śledzić, niż miewać o nich pogadanki i oglądać je na obrazku lub wypchane w klasie, że możnaby im i sobie dużo czasu i pracy oszczędzić, gdyby zamiast opowiadać, że jaskier rośnie na wilgotnych łąkach, a rydz w lasach iglastych, można im pozwolić zrywać jaskry na łąkach i rydze w lesie zbierać.

Przyroda, — ta pocziwa przyjaciółka dzieci, bez trudu i w jak najprzystępniejszej formie uczy ich tysiąca rzeczy, których najsumienniejszy nauczyciel w wykładach swych ogarnąć nie może. Uczy ich przedewszystkiem związku i jedności zjawisk; jej okazy nie są pomieszczone w szafach i podpisami opatrzone, lecz żyją, poruszają się, rosną, rozwijają wedle swych naturalnych praw i dają dzieciom pełny, wszechstronny, pełen powabu obraz wielkiego, pulsującego i drgającego życia. To też ona ma dla dzieci urok wszschładny i nieprzeparty. Jakże one lubią zwierzęta i ptaki, kwiaty, trawy i kamyczki! Czyż to nie są ich najmilsze zabawki, takie, które się nigdy nie sprzykrzą i nie znudzą, nigdy swej świeżości ani powabu nie tracą? Dziecko w naturze znajduje coś innego i coś więcej niż my. My ją podziwiamy, czerpiemy w niej ukojenie i odpoczynek, ono w niej i z nią żyje. Pamiętajmy, że te małe istoty żyjące wśród cywilizowanego społeczeństwa dziewiętnastego wieku, same jeszcze cywilizacją nasiąknąć nie zdołały. Są one poniekąd zbliżone do społeczeństw pierwotnych i dzikich; nasz świat, nasze zwyczaje i pojęcia, nasze urządzenia skomplikowane i prace zawile, są dla nich zupełnie niezrozumiałe. Trzymać je wśród miejskiego gwaru i ruchu jest rzeczą tak niewłaściwą, jak np. sprowadzić rodzinę czerwonoskórych Indian do Warszawy i osadzić ją w Europejskim hotelu. Tylko wśród pól, łąk i ogrodów, w towarzystwie psów, kur i kaczek, w otoczeniu drzew i kwiatów, tylko w wiejskiej swobodzie mogą one żyć pełnią życia, uczyć się patrzeć i myśleć. Przedewszystkiem zaś, jakże im trudno myśleć wśród miejskiego gwaru! Nie wiem, czy każdy z nas zdaje sobie z tego sprawę, ale sądzą, że każdy choć w mieście więcej gazet przerzucić, więcej książek przeczytać, więcej nowin usłyszeć i dysput przeprowadzić może, znacznie tru-

dniej myśl skupia, jedną z drugą kombinuje i łączy, znacznie mniej w głąb własnej duszy patrzy niż wtedy, gdy się wśród ciszy wiejskiej znajdzie. A coż dopiero mówić o dzieciach! One to właśnie zmuszane są do nadmiernych umysłowych wysiłków, do nabywania wiadomości, do przyswajania sobie cudzych myśli, w otoczeniu, które je nieustannie od samych siebie odrywa i nazewnątrz zwraca. W gwarze, hałasie, wrzawie, wśród tętniącego w około ruchu społecznego i towarzyskiego, wśród atmosfery przesiąkniętej wyteżoną walką o byt lub przesyconej salonowym flirtem i buduarowemi plotkami, wśród wizyt i interesów, one muszą przez rok cały uczyć się, pracować i myśleć. Na szczęście od tego ostatniego w rezultacie z konieczności ich zwalniają i one zwalniają się same. Uczą się i wydają lekcye, zdobywają stopnie, promocyje i nagrody, ale umysł wśród tej pracy dochodzi do zupełnej bezwładności—myśl usypia. O wyrobieniu umysłowej tęgości i samodzielnności—ani mowy być nie może. Skupienie uwagi i zrozumienie lekcji lub podręcznika, samo przez się dostatecznie wyczerpuje energię dziecięcego mózgu. Takim kosztem zdobywa się edukacja, która ludzi „dojrzałych“ światu dostarcza.

J. Moszczeńska.

(Dokończenie nastąpi).

Kazimierz Gliński.

## KRZYWDA

POWIEŚĆ.

(Dalszy ciąg).

XXI.

W lesie.

Słońce nie wznosiło się jeszcze nad drzewa parku, sennem okiem rozganiało opary ciągnące się nad łąkami, w powietrzu była cisza ogromna, a trawy, oblane dużemi kroplami rosy, białeły, jakby mrozem ścięte; bił od nich orzeźwiający chłód, ten oddech poranku, który pokrzepia ciało i smutnej duszy nawet ukojenie przynosi.

Dzień zapowiadał się spokojny, cichy i ciepły. Na niebie żadnych chmur ani obłoków nie było, przezrocza mgła tylko wypełniała przestworze, przez nią zaś przezierало słońce jak obręcz mleczna, rozpraszając jasność swych promieni w tej masie białej. Lecz z każdą chwilą wysrebrzały się coraz bardziej błękity, na ziemię padały wyraźniej odbite kontury drzew; rosy perliły się coraz więcej i gdy zbudzony ptak chwiejną gałązką potrącił, słychać było szmer spadających kropeł.

Pan Hipolit przechadzał się po dziedzińcu z założonemi w tył rękami. Zarysy bramy wjazdowej i zabudowań gospodarskich zaledwie widne były w tem morzu mgieł; cień jakiejś postaci ludzkiej, jak sylwetka tu i tam się przesunął, pan Hipolit po ruchach tylko poznawał przechodzące osoby, bo ani rysów twarzy, ani koloru ubrania rozróżnić nie można było.

To Czubiński. Idzie poważnie, zdradziłby go zresztą brzęk kluczy, które zawsze za pasem nosi, i wysoka czapka barania, pochylona na tył głowy. Tam jakaś postać jak wiatr przeleciała—to Maryanna. Rada, że pani od dwóch dni bawi w Grudowie, więc szczerzy zęby do Czubińskiego. Zdala zamajaczyła niewielka a ruchliwa figurka Sohackiego... dojrzał go Czubiński i przyspieszył kroku. Musieli pójść na folwark,

lecz było takie złudzenie, jakby ich mgła wesała...

Parę promieni słońca przedarło się przez szczerbę drzew: dotknęły liści—i te złotem błysnęły, pocałowały ziemię i ta w brylantach stanęła. Pan Hipolit przypatrywał się tym cudom słońca i chodził wzdłuż dziedzińca przed domem jakimiś myślami zajęty.

Myśli nie były snadź pęsepnę, bo wywoływały uśmiech jakiegoś zadowolenia na usta pana Hipolita. Przed paru tygodniami złożył dziesięć tysięcy rubli w banku. „To dla Władka”—szeptał—„drugie tyle później dla Stacha przeznaczę i tak co roku dokładać będę. Wychowam, w kieruję na ludzi, wdzięczność w ich sercach zasieję i gdy mnie Bóg do swojej powoła chwały, umrę spokojnie, zem nie zmarnował życia, a praca moja jakiś plon wydała.

„Ale — Sochaccy mają jeszcze jedno wnuczę, dorosła już panienkę, którą Marynią zowią. Dola pracujących dziewcząt jest bardzo ciężka—o tej Maryni trzebaby może nasamprzód pomyśleć... Tak—nieinaczej! Sochaccy mi nieraz mówili, że się zabija pracą... Dobrze!... te pierwsze dziesięć tysięcy—to posag dla Maryni!”

Zatarł ręce i uśmiechnął się zadowolony.

„Ciężko będzie wciągnąć Sohackich do spisku—myślał dalej. Basieczka nakłoniłaby się dala, ale stary?... Znam go, obrazi się... Niech tam!... Potrafimy zrobić tak, żeby niczego się nie domyślał. Obraza zresztą przeciw obrazie stanie i posprzeczamy się wściekle — aż będzie musiał ustąpić... Mój baran obiecany dzieciom, już i tak siadł klinem w głowie pani Sohackiej; gdy wspomni o nim Władek czy Staś, staruszka wnet poważnieje i jakby z wyrzutem patrzy na mnie, nie mogąc jeszcze pogodzić się z myślą, że już nie mam—rodziny.

Stłumił westchnienie.

Nagle posłyszał gwałtowny tentent rwących się kopyt końskich i zaledwie mógł rozproszone myśli zebrać, gdy jak burza w bramę wpadł rumak spieniony, na grzbiecie swym amazonkę unosząc. Dwa skoki jeszcze — i zarył się kopytami tuż przed Hipolitem.

— Co widzę?—zawołał Grudowski zdumiony.

— Przyleciało piórko, żebyś je pan w powietrzu uchwycił—zaśmiała się Tosia.

To mówiąc, uniosła się w strzemienu i skoczyła wprost na pana Hipolita, który, lękając się upadku swawolnicy, rozwarł szybko ramiona i niemal w powietrzu ją zatrzymał...

— Bravo!—zaśmiała się Tosia już w objęciach Grudowskiego.

— Bravo!—odezwał się pan Hipolit, stawiając Tosię na ziemię, ale czy można waryactwa takie robić?

— Cicho!... bez morałów!... Sam mnie zmusiłeś do tego niedowiarstwem swoim, a teraz narzekasz?... Pst! bo siadam zaraz na koń i kwita z przyjaźni...

Spojrzenia Tosi zaprzeczały rzucanym groźbom; poznał się na tem bardzo łatwo pan Hipolit i, ujawszy obie rączki bratowej, przeproszał za słówko, które mu się wymknęło nierozważnie, ale które, bądź co bądź, nie było zbyt dalekie od prawdy.

— Przeprosiłem — i teraz pani nie puszcza... Musisz odpocząć chwilę i dać wytchnąć koniowi, który napewno myślał, że rajtara na swoim grzbiecie unosił. Sawko!—zwrócił się do nadchodzącego chłopca—weź konia do stajni!

— Lecz, czy pan się domyślasz, po co tu przyjechałam?—odezwała się Tosia.

Hipolit wzruszył ramionami.

— Nie jestem domyślny—rzekł.

— Otóż—po pierwsze: zateśkniłam za panem; powtóre: powiedzieć panu, że się nie godzi tak nadużywać mojej cierpliwości. Panu może zadowolenie sprawia moja minka nadašana, lecz mnie to nie bawi. Zechciej pan z łaski swojej obrać chować dni, i powiedzieć, od jak dawna już u nas nie byłęś?

Hipolit zaczął liczyć na palcach.

— I co? spytała Tosia.

— Palców zabrakło — odpowiedział z uśmiechem.

- A przecie dałeś słowo?
- Lecz wykrepiłem się zaraz.
- Brzydki pan jesteś!...

Odwrociła się nadąsana i zaczęła szpicrutą siec trawę.

Hipolit obrzucił ją spojrzeniem.

W amazonce czarnej, i lśniącym, stosowanym kapeluszu na głowie, przesłoniczną była; widziane z boku usta świeciły jak koral pięknie toczony, policzki świeżą, młodą krwią grały, a rzęsy opuszczonych powiek rzucały cień długi na tę twarzyczkę, na której, pomimo gniewu udanego, przewijał się łatwo dojrzany uśmiech. Z uśmiechem też patrzył i pan Hipolit, ale z przeprosinami nie spieszył, chcąc wzrok nasycić tym obrazkiem dla siebie zupełnie nowym, a tak pożądanym.

Co robi u niego to śliczne stworzenie o poranku tak wczesnym? On przywykł dom swój uważać za taką pustelnię, o której ściany nie obija się żadne już echo, niosące wesołość i śmiech, gdzie błędzą cienie samotne, poważne zawsze lub smutne. A oto istota młoda, piękna, wyciągnęła serdecznie dłonie ku niemu, i jakiś blask słoneczny pod nogi mu rzuciła. Przywykł do samotności, wydarty z niej nagle został; pozbawiony rodzinnego ciepła, dziś czuje blisko siebie jego płomień ożywczy. I komu to zawdzięcza? Osobie obcej zupełnie, o której miał trochę opaczne wyobrażenie, zanim zobaczył i poznał.

Uśmiechał się — Tosia stała zwrócona bokiem i szpicrutą ścinała łebki trawom.

— Pani okrutnie jesteś zła — odezwał się po chwili.

— Przeprosisz mnie pan? — rzekła Tosia.

— Przeproszę i zaraz rozgniewam, bym mógł znów przeprosić.

Ujął małą rączkę amazonki ucałował trzykrotnie.

— Zgoda? — rzekł.

— A pan myślałeś, że mogłoby być inaczej?

— Nie, tego nie przypuszczałem.

— Nadąsałam się trochę na pana i nie wymieniłam jeszcze wszystkich powodów mojego tutaj przybycia. Jednym z nich jest, ażebyś pan zechciał mi towarzyszyć w dzisiejszej mojej porannej przejażdżce. Może niewiele już będziemy mieli tak pięknych dni jesiennych. Patrz pan! mgły opadają, a ciepły powiew wiatru wzbudza jakieś wiosniane zachcianki. Ja nie mogę długo siedzieć wśród ścian, choćby królewskiego pałacu, wolę ten namiot niebieski, ciszę lasów, szmer liści, słońce i... pana — dodała z zalotnym uśmiechem.

Hipolit uklonił się.

— Jestem powolnym służką pani, ale...

Tosia poruszyła się niecierpliwie.

— Pan masz zawsze jakieś ale. Nie lubię tego! Prosząc, byś odwiedzał codziennie Grudów, wykrecałeś się zajęciami gospodarskimi, teraz coś znowu ma panu stanąć na przeszkodzie.

— Jedziemy! — rzekł szybko Hipolit. — Czyż mógłbym pani i sobie tej przyjemności odmówić? Chciałem tylko uprzejmie prosić, abys — zanim mi przyprowadzą wierzchowca, zechciała pani przyjąć chwilowo u mnie gościńcę.

— A — tak? — to do brzo! Pan tutaj mieszka? — spytała, wskazując ręką na dom.

— Tak, pani! Ta część domu jest moim mieszkaniem, a tamta — matki. Po salonach grudowskich bielone ściany moich pokojów, których jest trzy tylko, nie wysmienite na pani wywrą wrazenie.

— Co mnie bielone ściany obchodzą! — rzekła Tosia, wspierając się na rękę pana Hipolita.

Weszli do wnętrza domu.

— To jadalny, to salon, a tam? — spytała.

— Mój gabinet.

— Wstęp wolny?

— Proszę.

Wbiegła szybko i wzrok jej padł na biurko, na którym spostrzegła fotografię swoją, przyslaną niegdyś Hipolitowi przez Henryka.

— Aa!...

— Poznaje pani? — spytał Grudowski.

Tosia podniosła oczy i, patrząc długo na stojące przed sobą, spytała półszepem:

— Czasami patrzysz pan na nią?

Pytanie to dziwnie obito się o uszy pana Hipolita. Byli sami, Tosia wiedziała o pustce tego mieszkania, po co ten półszep?

Znacząco spojrział na Tosię. Na jej twarzy wykwił rumieniec silny, ale nie spuściła oczu, przeciwnie, patrzyła wciąż uparcie, a w miarę gdy się ich spojrzenia krzyżowały, pierś jej poruszała się szybciej i wyraźniej było słuchać stuk serca.

— Pan nie patrzysz na nią? — spytała po raz wtóry.

— Nie!

Tosia gwałtownie rzuciła na stół fotografię.

— Chcesz-że pani, bym kopię nad oryginał przeniósł? — rzekł Hipolit.

— Aa!... — zawołała Tosia, dziękując mu ślicznym ukłonem.

Powiódłszy oczyma po wszystkich kątach pokoju, przeszła do jadalnego i zatrzymała się w salonie.

— I to już cała klatka pana? — spytała.

Hipolit zaśmiał się.

— Jak pani nazwiesz to zwierzę, które ją zamieszkuje?

— Lwem — odpowiedziała bez namysłu. Brak tylko myszki malutkiej, którąby nadgryzła kraty tego więzienia. Czy pan nie pomyślałeś o tem nigdy?

— Co znaczą myśli — odpowiedział — które się ziścić nie mogą? Jeżeli niegdyś płątały się w tej głowie marzenia jakieś — oddawna już im za wygraną dałem. Takie więc chwile, jak dzisiaj, gdy życzliwy, młody głos niewieści odzywa się wśród ścian tych zawsze pustych, są dla mnie nieocenionym skarbem. Pożadam i lękam się ich, bo jakaś kława ciężka nademną, czy nad tym dachem. Nie śmieję się, pani! wiem, że to jest przesąd, dzieciństwo... przesady jednak sprawdzają się czasami. Dziś widzę panią u siebie wesołą, uśmiechniętą — chciałbym ją widzieć taką raz drugi, jeszcze i trzeci — ale...

— Czy słyszysz pani szepc tych ścian? — zapytała nagle.

Tosia podbiegła do pana Hipolita.

— Pan mnie straszysz! — zawołała z trwogą udaną i chwytając go za rękę, przygarnęła się ku niemu. — Cóż, coż te ściany szepcą? — pytała.

— Że tu umiera każdy głos szczęścia.

— A teraz co pana trwoży?

— Że pani odejdziesz i tylko większą pustkę zostawisz po sobie.

— Odejdę, gdy pan tego zechcesz — rzekła.

— Ale ja wszystkich ludzi przygarnęłbym do siebie, a coż dopiero panią, która między Grudowem a tym domem rzuciłaś już jedną nie złotą. Pani staniesz się ogniwem rozerwanego łańcucha — moim duchem dobrym? Prawda?

— Jedźmy! — szepnęła Tosia — milczenie lasów wymowniejszym będzie.

Tymczasem weszli do ogrodu.

W powietrzu była ogromna cisza, najmniejszy wiatr nie przelatał i nie potraçał zżółkłemi liśćmi, w oddali tylko młyn klekotał i słycać było spad wody.

Grudowski spochmurniał.

— Co pana zasmucilo? — zapytała Tosia.

— Trochę przykrych wspomnień zbudziło się w tej chwili w mojej pamięci — odpowiedział Hipolit.

— Czy mogę wiedzieć coś o nich?

— Opowiem pani.

I zaczął opowiadać smutną historię panny Matyldy.

Tosia słuchała uważnie; gdy skończył, spojrziała mu wprost w oczy i rzekła:

— Nie kochałeś pan jej?

— Nie, pani.

— Nie kochałeś pan nigdy i nikogo?

— Nigdy i nikogo — odpowiedział.

— Aż dotąd? — spytała, paląc go spojrzeniem.

Mimowolny rumieniec wystąpił na twarz pana Hipolita, i w tej chwili uczuł, że ramię Tosi silnie przyłgnęło do jego ramienia, a serce uderzyło tak mocno, jakby przez nie gwałtowna fala krwi przebiegła.

Nadszedł Sawko i zawiadomił, że konie czekają przed gankiem.

— Dokąd pojedziemy? — spytała Tosia, dosiadając rumaka.

— Gdzie pani rozkaże.

— Ależ ja nie znam zupełnie okolicy, moim przewodnikiem pan być musisz.

— Co pani wolisz: las czy pole?

— Las.

— Więc pojedziemy do lasu.

— Dziś jestem w trochę marzycielskiem uspojeniu — mówiła Tosia, gdy wyjechali za bramę. Zagłębimy się w ciszę leśną, by żaden głos ze świata nie dolatywał do nas. Będzie to prawdziwa sielanka.

Słowa Tosi dziwnie się mieszały w umyśle Hipolita. Niekiedy uczuwał ogień jej spojrzeń i wtedy krew mu napływała do twarzy, a myśli się płątały. Gniewny był na siebie za ten rumieniec i te myśli, które obrazić mogły tę istotę dobrą, z taką ufnością zwracającą się ku niemu, istotę, która wiedziała o jego życiu bezbarwnem i widocznie w dobroci swojej ukwieciła je przagnęła.

Długi czas jechali równym gościńcem, zbliżając się do widniejących zdala dróg rozstajnych, oznaczonych krzyżem drewnianym, na który rozpięty był Chrystus, obwieszony różnemi płachtami, temi darami, składanemi Bogu przez lud biedny. Zrazu pan Hipolit chciał się do Zaleszczyńsk skierować, ale wspomnienie smutnego wypadku z panną Matyldą odwidło go od tego postanowienia. Wolał obrać miejscowość mniej piękną, lecz obojętną zupełnie; nie chciał, by cokolwiekbądź zamąciło w tej chwili spokój jego myśli i zachmurzyło czoło. Skierował więc konia ku dziadyszrowskim lasom, gdzie szeroko rozkładały się konary dębów przeszło-stuletnich, a choć nie było skał i wartkiego potoku, znajdował się tam jeden wawóz tajemniczy, gdzie dzikie róże dotąd kwitnąć musiały, a niepłoszone przez nikogo wiewiórki skaczą z gałązki na gałązki.

Powietrze było przepelnione wilgocią i zapachem ziół — w okół panowała uroczysta cisza, mimo to las gadał. Wiatr nie poruszał liśćmi drzew, a tajemnicze biegły szelesty i szepoty: To niedojrzany gdzieś wąż prześlizgnął się przez zarośla, jaszczurka skryła się między liście, jakiś ptak daleko się zerwał, dzieciół uderzył o korę dębu; to wszystko zmieszane razem, stanowiło przedziwną muzykę lasu, ledwie pochwytaną, wyraźną jednak, mającą swój urok niezrównany.

Niewiele tu jeszcze szkody zrobiła jesień, wytrwałe dęby opierały się wyciężko jej sile. Gdzieś niedługo tylko złociły się liście, lub umierały, przyczepione do gałęzi, chyba wiatr je strącił i rzucił na ziemię. Złote plamy słońca stały się na zielonej murawie, tu i tam spóźniony kwiat wykwił, a bujne paprocie zabiegały drogę jadącym.

Konie szły stępą, rumak Tosi targał wędzidłem i rwał się do biegu, ale dłoń wprawna nakazywała mu posłuszeństwo. Od chwili, gdy wjechali w gęstwinę, pan Hipolit nie przerwał milczenia swej towarzyszki, która jechała z lekko przymrużonemi oczyma, pełną pierśią chwytając powietrze wonne.

— O czym pani myśli? — zapytał po chwili.

— O panu.

Pan Hipolit spojrział na Tosię.

— I co pani o mnie myślałaś?

— Myślałam o życiu pańskim, tak bar smutnem i tak bardzo samotnem.

— I nie zmienionem — dokończył Grudowski.

— Dla czego? — spytała, zbliżając się do Hipolita.

— Tak chce przeznaczenie.

— Nie wierz pan temu — odpowiedziała ko. — To zależy od nas, jeżeli nie zupełną w znacznej części. Potrzeba tylko trochę odgi, trochę pewności siebie, potrzeba tylko — chociaż małe — szczęście, ale zawsze szczęście. To samo schyli się panu w ramiona.

W tej chwili koń Grudowskiego, szarpnięty ręką silną, cofnął się w tył gwałtownie.

— Co to jest? — spytała pani Teofila.

— Czegoś mi się koń spłoszył.

— Ukarz go pan.

Grudowski uderzył konia szpicrutą i podjechał do Tosi.

Stanęli nad wąwozem.

— Prawda, jak pięknie?—rzekł Hipolit.

— Czy można w dół zjechać?—spytała amazonka.

— Lepiej zejść piechotą, bo spadek zbyt przykry.

— Zatem przywiążmy konie i użyjmy przechadzki.

Zeskoczyła na ziemię, zanim pan Hipolit zdążył jej rękę podać.

Grudowski przywiązał konie do drzewa i zbliżył się do Tosi, której usta drżały jakąś gorączką, a oczy jak gwiazdy świeciły. Podał jej rękę, i zanurzyli się w cień drzew, osłaniających wąwóz. Otoczyło ich morze zieleni, u góry tylko przyświecał wązki pasek błękitów. Niezamacona niezmierzająca cisza była dokoła.

— Czy pan nie czujesz nic?—spytała po chwili Tosią.

— Zapach ziół—odpowiedział Hipolit.

— Odurzający zapach!... A jeszcze?—dodała.

— Słyszę dźwięk głosu pani— odrzekł Grudowski.

I zdało się panu Hipolitowi, że głębia lasu rzuciła mu pytania, ale las milczał i czekał tylko na odpowiedź. Lecz oto jeden, drugi listek się poruszył, i cichy szept pobiegł wzdłuż gęstwiny, jakby się całowały drzewa i krzewy i drżały gorączką rozkoszy. Pan Hipolit uczył w sercu całe piekło, szum krwi go odurzał, w uszach posłyszał uderzenia dzwonów. Ale to była chwila krótka. Rzekł głosem spokojnym, choć drżącym:

— Bratowo, tak się żartować nie godzi!

Tosią drgnęła i otworzyła oczy.

— Jak to dobrze—mówił Hipolit, że uwierzyłem w żart...

— A jeżeli to nie był żart?—szepnęła.

— W takim razie zawiodę panią tam, gdzie masz do spełnienia święty obowiązek żony.

Wyszli z wąwozu.

— Oszukałam się na panu—rzekła, dosiadając rumaka.

— A mnie się zdaje, że wcale nie oszukałam panil...

Tosią lekko przygryzła wargi i, uderzając szpicrutą konia, w lot pomknęła.

Wjeżdżając w bramę pałacu grudowskiego, spostrzegli elegancki zaprzęg stojący przed ganikiem.

— Książę Ryszard—rzekł Hipolit.

— Al...—odezwała się Tosią.

Weszła do pałacu, w drzwiach zwróciła się do Hipolita i ściskając rękę jego, szepnęła:

— Jeżeli zatęsknisz—przyjdź do mnie!

I znikła.

Hipolit stał przez chwilę, jakby odurzony tem, co zaszło. Wszystko zdawało mu się snem, a był to sen tak przykry! Kochał Tosię, jako osobę, należącą do swojej rodziny, i rad był niewymownie, że znalazł jedną duszę pokrewną, która mu będzie tak bliską jak brat, lecz więcej odaną.

Oszukał się.

Nie ukochaną siostrę, lecz niepożądaną konkubinę znalazł.

— Na była — mogły obalamucić się zmysły niezroszalec. Lecz do niego nie mogła należeć gwaru i rzenigdy!...

— np. sprożimno na myśl samą, gdyby mu w dardu Warsz i zabrakło woli, gdyby uległ nieprzetelu. Tyonętom Tosi. Jak błysk piorunowy rzystwie łg jego przeleciała myśl poddania się i kwiatówj pokusie. Lecz w czas się opamiętał: one żyć ją jego brata!

Przedewzwał się.

— wśród dawniej Hajczyńce, tak teraz Grudów oddalił się od niego. Uczuł się znów sam, bez rodziny i stokroć bardziej samotny, a nadomiar zaniepokojony o szczęście Henryka. Stosunki z Tosią muszą się przerwać. Choćby zatęsknił za nią, nie przyjdzie. W braterskiem powita-

niu nie wyciągnie już do niej dłoni, ani bez rumieńca na twarzy ust do jej ręki nie zbliży.

Z uczuciem pustki w duszy przestąpił próg salonu, gdzie znalazł panią Karolinę, Henryka, Tosię i księcia Ryszarda. Prowadzili jedną z tych rozmów salonowych, w której wątku uchwycić trudno, a która, mimo to, jest zabawną i błyszczą właściwym sobie dowcipem. Tosią była wesoła, jak zawsze ożywna, śmiała się i trzpiotała, tylko w chwili gdy wszedł Hipolit, silniejszy rumieniec twarzy jej umalował i zwróciła się całkiem do księcia Ryszarda, nie zwracając wcale uwagi na brata mężowskiego.

Książę Ryszard rzadkim bywał gościem w dobach swoich. Przyjeżdżał na krótko, urządzał parę polowań, na które okoliczne zapraszał obywatelstwo i wyjeżdżał zagranicę, do stolic europejskich, gdzie próżniaczy wiódł żywot. Fortuna miał duży, trwonił pieniądze gdzie mógł i jak mógł, a mimo to nuda, jak cień uparty, wciąż szła za nim. Tacy ludzie niewiedomo po co się rodzą, dla czego żyją, a gdy zejdą z tego świata, żadnych wspomnień, ni żalu nie zostawiają po sobie. Jeżeli czem są, to chyba zawadą na drodze toczącego się wciąż naprzód rydwanu postępu, jakąś omyłką sił twórczych, wyrzucaną za nawias. Książę Ryszard był uosobieniem egoizmu: kochał tylko siebie, cenil siebie i żył dla siebie. Walki, jakie wstrząsały światem, cele i pragnienia ludzkości nie obchodziły go wcale. Dziwili go ludzie, nie podporządkowujący się ustawom tego świata, godził się zawsze z faktami dokonanymi, nowych gościńców ubijać nie lubił.

— Z przejażdżki?—odezwał się Henryk do wchodzącego brata. Jakże się wam udało?

— Nieźle—odpowiedział Hipolit.

— Panowie się znają?—spytał Henryk, wskazując księciu brata.

— Z widzenia—odpowiedział Hipolit.

— Mam nadzieję, że poznamy się bliżej—rzekł książę, podając rękę Hipolitowi.—Znudziła mi już zagranica i przez czas dłuższy myślę w Woroniej przesiedzieć.

— I odwiedzać często Grudów—rzuciła Tosią.

— Całe dominium Grudowskie—odparł książę,—a więc i Górki, jeżeli pan pozwoli.

— Wielce się czuję obowiązany—obojętnie rzekł Hipolit.

Książę Ryszard, znający zwyczaje światowe, bawił krótko. W razie polepszenia się zdrowia pana Henryka, zapraszał go do siebie, obiecując odwiedzać często piękny Grudów i zamawiając sobie u pani Teofili przejażdżkę konną, przypominając przytem dawniejsze, wspólne wycieczki lwowskie.

Panu Hipolitowi bardzo przykro przeszedł dzień cały. Henryk łamał się z niewyraźną jakąś chorobą; drzemał w fotelu, przechadzał się po ogrodzie w towarzystwie matki, która powoli rozstrzykała przed nim swoje plany, dotyczące się przyłączenia Górek i Piasków do dóbr grudowskich. Tosią nie uśmiechała się już, choć nie unikała pana Hipolita; jak dawniej, zatrzymywała długo wzrok swój na nim, tylko on już to spojrzenie rozumiał i dawnym nie mógł odpowiedzieć uśmiechem. Powiał chłód i coraz ostrzejszym podmuchem rozdzielać już ich będzie.

Nad wieczorem pan Hipolit odjechał.

Gdy wychodził na balkon, zaszła mu drogę Tosią.

— Czy zatęsknisz pan?

— Rozstaję się z panią z ogromnym smutkiem—odparł.

— Nie bądź dzieckiem!—szepnęła, garnąc się ku niemu.

— Jestem tylko bratem—męża pani!

Siadł na koń i ruszył pełnym galopem.

(Dalszy ciąg nastąpi).

## ODCZYTY.

VI.

Adam Szawłowski. „O roli kobiet i salonów w XVIII-ym wieku.“

(Dokończenie).

Ostatni odczyt swój o kobietach i salonach XVIII wieku p. Szawłowski poświęcił charakterystyce zebrań towarzyskich u państwa Helvetiusów, u barona Holbacha, u pani Le Marchais i u pani de Staël, oraz uwagom ogólnym. Pozostawiając te ostatnie na koniec, zaznaczymy tu najpierw, że sylwetka Helvetiusa skreślona została przez prelegenta w sposób zbyt ogólnikowy i zanadto trącający szablonem. Autor książek „O umyśle“ (*De l'esprit*) i „O człowieku“ (*De l'homme*) zatracił w odczycie p. Sz. rysy indywidualne i jest tylko jakąś oderwaną postacią „filozofa-teoretyka“, dążącego do uzdrowienia społecznego i dającego przykład „spełniania obowiązków praktycznych względem swego społeczeństwa.“ Do oceny jego działalności użyta przytem została zbyt wysoka miara, z kądną bowiem wiadomo, że był to wogóle umysł, nie odznaczający się samodzielnością ani oryginalnością, a o głównym jego dziele „(O umyśle)“ powiedział ktoś słusznie, że niema tam myśli, którejby przed nim inni nie wygłosili. Książka ta zresztą, dziś już prawie zapomniana, rozgłos swój w stuleciu ubiegłym zawdzięczała nietyle swej wartości wewnętrznej, ile raczej wyrokowi fakultetu teologicznego, który ją skazał w roku 1759 na spalenie ręką kata. Jeden tylko rys charakteru Helvetiusa został trafnie zaznaczony w odczycie, a mianowicie ta jego umiejętność wyłudzania cudzych myśli i użytkowywania ich w swoim dziele, umiejętność, jak się wyraża cytowany już przez nas Porębowicz, karmienia się okruciami, spadającymi ze stołu bogów.

Więc też, mimo piękność i inteligencję pani domu, mimo gościnność i uprzejmość gospodarza, zebrań u Helvetiusów nie miały doniosłego znaczenia w ruchu umysłowym przeszłego wieku. Ozdobą ich bywały od czasu do czasu odwiedziny znakomitego Turgot'a, na którego już wówczas zwrócone były oczy lepszej części społeczeństwa francuzkiego, przekonanej głęboko, że prędzej czy później będzie on powołany do przeprowadzenia reform niezbędnych. Oprócz tego, ciekawą bardzo mogła być na tych zebrań typowa postać stuletniego blizko Fontenelle'a, przedstawiciela dawno ubiegłej epoki, który jednak do końca życia, obok czerstwości ciała i zadziwiającej bystrości umysłu, zachował niezmierną uprzejmość towarzyską i wysoką galanterię względem dam. „Mając prawie lat sto, zapewnia prelegent—Fontenelle czuł się w obowiązku wyróżniać szczególniejszymi względami gospodynię domu, piękną panią Helvetius, i odgrywał przy niej rolę zakochanego.“ Urodzony w roku 1657, autor głośnych w swoim czasie „Dyalogów umarłych“ i „Pochwał akademickich“ (*Eloges*) nie wahał się w roku 1755, a więc w 98 roku życia, stanąć do tańca z córeczką Helvetiusów, późniejszą hrabiną de Mun.

Mówiąc o towarzystwie, zbierającym się w niedzielę i czwartki na słynnych obiadach u barona Holbacha, nazwanego dowcipnie *maître d'hôtel de la philosophie*, prelegent czerpał głównie ze wspomnień i listów stałych uczestników tych zebrań: księdza Morellet'a, wielkiego Diderot'a i innych. Wszyscy oni mówią z zapałem o milej swobodzie i sympatycznej atmosferze tych posiedzeń, na których najwybitniejsze umysły współczesne dzieliły się wzajemnie spostrzeżeniami i poglądami swemi w dziedzinie literatury, polityki, filozofii, sztuki, nauk społecznych, przyrodniczych i t. d. Wybór tematów nie ulegał żadnym ograniczeniom, rozprawiano z zapałem o wszystkim, począwszy od najbardziej oderwanych teorii aż

do wybitniejszych zdarzeń i potrzeb dnia, nasuwanych przez niewstrzymane w biegu fale życia.

Zebrań u Holbacha prelegent przypisuje słuszenie bardzo doniosły wpływ na ruch umysłowy XVIII stulecia, był to bowiem *par excellence* salon encyklopedystów, i wiele prac najdonioślejszego wydawnictwa „wieku oświaty”, jakim była niewątpliwie Encyklopedia, powstało właśnie pod bezpośrednim wpływem i pobudką ożywionych rozpraw, towarzyszących stale niedzielnym i czwartkowym obiadam u autora „Systemu natury.”

Na zebraniach u Holbacha bywali wszyscy wybitniejsi przedstawiciele ówczesnej nauki i literatury, a więc: Diderot, Rousseau, Helvetius, Duclos, Raynal, Marmontel i wielu innych, a oprócz tego, wszyscy znakomitsi cudzoziemcy, którzy w tym czasie bawili w Paryżu, że wymienimy tylko takich ludzi, jak: Hume, Sterne, l'abbé Galiani, Beccaria, Garrick, Franklin...

Prelegent przy sposobności skreślił kilka sylwetek z tej świetnej plejady wielkich duchów, walczących niezmordowanie w imię szczytnych haseł oświaty i szczęścia ludzkości. Zatrzymał się, naturalnie, najdłużej nad „główną siłą i ozdobą tego salonu” — Diderotem, o którym mówił z zapalem, że był to „geniusz wszechstronny, głęboki filozof, niemniej głęboki uczonej ierudyta, świetny pisarz, gruntowny znawca sztuk pięknych, a przytem wszystkim „najszlachetniejszą i najczulszą na cudzą niedolę serce.” Głębokie myśli Diderot'a, rzucane obficie w rozmowie, przybrane były zawsze w formę ujmującą i dowcipną; najśmielsze poglądy swoje wypowiadał w sposób ponętny, nie urażający niczem przeciwnika; z uwag i spostrzeżeń jego tryskała zawsze gorąca miłość dla wszystkiego, co wielkie i piękne, co szlachetne i godne uwielbienia.

Żywą ilustracją charakteru Diderot'a, oraz stosunków, które panowały w otoczeniu Holbacha, były przytoczone przez p. Szawłowskiego wyjątki z listów niestrudzonego założyciela i głównego redaktora „Encyklopedyi” do panny de Voland, z którą prowadził on pełną wdzięku korespondencję, będącą jednym z najważniejszych źródeł zarówno do własnej jego biografii, jak i do dzieł „Encyklopedyi.” Z wyjątków tych zapoznaliśmy się również z ciekawą postacią księdza Galianiego i z charakterem improwizowanych przezeń na zawołanie bajek satyrycznych, z których jedna, o słowiku, kukulce i osle, powtórzona została w całości.

Letnie miesiące Holbach spędzał zwykle w Grandval nad brzegiem Marny, gdzie odwiedzali go również liczni przyjaciele z kółka filozofów, a najbliższy i najwydatniejszy z nich, Diderot, spędzał tam całe tygodnie i z tamtąd właśnie pisywał do panny de Voland swe listy niezrównane, o których wspomnieliśmy przed chwilą. O atmosferze, która tam panowała, daje pełne pojęcie i przytoczony przez prelegenta pogląd Johna Morley'a, znakomitego znawcy i wielbiciela wieku XVIII. Mówiąc o życiu towarzyskim w letniej rezydencji barona Holbacha, robi on uwagę, że gdyby cudem jakimś można się było przenieść na jeden dzień do szóstego dziesiątka lat ubiegłego stulecia, to pragnąłby ten jeden dzień spędzić w towarzystwie tych znakomitych ludzi, równie rozumnych, jak sympatycznych, którzy się tam zbierali, i posłuchać ich rozmowy podczas przechadzek nad malowniczymi brzegami Marny.

Z kolei rzeczy słów parę poświęcić musimy salonowi pani Le Marchais, znanej lepiej z nazwiska drugiego męża swego, jako hrabina d'Angiviller. Mając przystęp do najbliższego otoczenia królewskiego, zgromadziła ona w swym salonie wszystko, co było niepospolitego na dworze, a jako przyjaciółka pani de Pompadour, robiła przez nią wiele dobrego dla swych przyjaciół, zażegnawszy w porę niejedną burzę nad głowami filozofów. Zapoznawszy się z Quesnay'em i innymi ekonomistami współczesnymi, pani de Marchais tak się przejęła ich teoriami, że salon jej nazywano żartobliwie „salonem czystego dochodu.”

Pomijając przesadne pochwały, oddawane wszystkim gospodyniom salonów, a w tej liczbie

i pani Le Marchais, przez Marmontela, który ją nazywa, naturalnie, najdowcipniejszą i najmilszą z kobiet i przyznaje jej wszystkie wdzięki charakteru i umysłu, podnieść należy jej zasługi w sprawie popularyzacji wśród szerszego towarzystwa najnowszych poglądów ekonomicznych, które wystudowała tak dokładnie, że mogła w nie wtajemniczać swych gości z całą swobodą. Inny literat XVIII wieku, Thomas, który, podobnie jak Marmontel, bywał we wszystkich prawie ówczesnych wybitnych salonach paryzkich, wypowiada zdanie w swym „Szkicu o kobietach”, że hrabina d'Angiviller była najdoskonalszym typem kobiety XVIII wieku, gdyż przy najwyższych zdolnościach umysłu i wymowy, przy najpiękniejszych przymiotach serca, posiadała wszystkie pociągające wdzięki kobiety.

Salonowi pani Necker, wbrew utartym poglądom, p. Szawłowski nie przypisuje poważniejszego znaczenia w ruchu umysłowym ubiegłego stulecia, zarówno ze względu na zbytnią surowość zasad samej gospodyni domu, nie pozwalającej na poruszanie w swej obecności wielu kwestyi pierwszorzędnej znaczenia dla umysłów ówczesnych, jak i z powodu wyzyskiwania przez nią stosunków towarzyskich, w celu ułatwienia karyery politycznej mężowi swemu, niezbyt szczęśliwemu, jak wiadomo, następcy Turgot'a na urzędzie generalnego kontrolera finansów. Sztwywny i zimny dom państwa Necker z tego tylko względu, zdaniem prelegenta, zasługuje na uwagę, że w nim właśnie wyrosła istota, która „polotem myśli, śmiałością poglądów, zapalem i entuzjazmem do wszystkiego, co wzniosłe i szlachetne, wprowadziła w podziw całe ostatnie pokolenie XVIII wieku.”

Mowa, oczywiście, o jedynej córce Neckera, znakomitej autorce, znanej w historii literatury pod nazwiskiem pani de Staël. Poślubiwszy w 21-ym roku życia ambasadora szwedzkiego barona de Staël-Holstein, i nie znalazłszy szczęścia w tem małżeństwie konwenansowem, młoda entuzjastka szukała na innych polach urzeczywistnienia swych ideałów. „W salonie jej—mówił prelegent—skupiali się najznakomitsi ludzie końca wieku, a obok nich zastępy myślącej młodzieży, pełnej entuzjazmu dla wielkich dążeń wieku i uwielbienia dla genialnej młodej kobiety, która przewodniczyła tym świetnym zebraniom.” Pod względem zapалу, dowcipu, entuzjazmu i uroku młodości, miało to być najświetniejsze towarzystwo w Paryżu w ostatnich latach przed rewolucją, a pani de Staël, streszczająca w sobie wszystkie wielkie myśli i uczucia wieku, słusznie nazwaną być może muzą reformatorów i królową pokolenia entuzjastów, dążących do odrodzenia Francji.

Nie dziwnego, że sama pani de Staël wspominała później z zachwytem te piękne chwile swego życia, a stary sceptyk Talleyrand, który w młodości należał również do kółka wielbicieli czarującej pani ambasadrowej i do stałych gości jej salonu, wykrzyknął kiedyś naschyłku życia i świetnej karyery dyplomatycznej: „Ach, kto nie żył w tych latach pamiętnych, ten nie wie, jak wielką rozkosz może sprawiać życie!”

Na zakończenie, uogólniając uwagi swoje o salonach i kobietach francuzkich XVIII wieku, prelegent w gorących słowach podnosił znaczenie kobiet w życiu towarzyskim, jako łącznika uczuciowego i moralnego między mężczyznami. Obecność ich właśnie przyczyniła się głównie do utrzymania w towarzystwie tego tonu podniosłego, serdecznego i zarazem wesołego, którym tak zaszczytnie odznaczały się salony paryzkie zeszłego stulecia.

Lecz obok niezwyklej inteligencji i wysokich zalet towarzyskich kobiet, odegrały tu rolę wybitną i pewne właściwości charakterystyczne myślicieli francuzkich owej epoki, wolnych od cienia pedanteryi i umiejących wypowiadać najgłębsze myśli wśród wybuchów nieklamanej wesołości i dobrego humoru. Słusznie zupełnie p. Sz. kładzie nacisk i na to, że filozofowie francuzcy XVIII wieku wszystkie dociekania swoje i myśli podporządkowywali jednemu wielkiemu celowi—udoskonalenia i uszczęśliwienia ludzko-

ści. W najdonioślejszych swych pracach teoretycznych nie tracili z oczu celów praktycznych, myśli ich ożywione były zawsze szlachetnym pierwiastkiem uczuciowym, i na tym gruncie mogli oni łatwo dojść do porozumienia z takimi kobietami, jakie wydała we Francji pamiętna w dziejach ruchu umysłowego epoka wielkich prądów rewolucyjnych.

Rola salonów nie kończyła się na pożytku i przyjemności, którą z nich wynosiło kółko filozofów, literatów i artystów. Każdy z salonów pierwszorzędnych, oprócz swych stałych bywalców, miał i gości przygodnych, którzy ze swej strony brali udział w mniej wybitnych zebraniach towarzyskich, jakich w Paryżu było wówczas mnóstwo, i rozpowszechniali wśród ludzi, interesujących się ruchem umysłowym, pojęcia i dążenia filozofów. Cudzoziemcy znowu, przyjmowani tak chętnie przez panią Geoffrin, barona Holbacha i wszystkie prawie gospodynie wybitniejszych salonów paryzkich, wywozili z nich nowe poglądy zagranicę, i tą drogą oświata rozlewała się szeroką falą po całej Europie, wywierając wpływ ożywczy na ruch umysłowy wszystkich cywilizowanych ludów.

Dziś, wobec rozwoju prasy, za której pośrednictwem rozpowszechniają się nowe poglądy i toczą rozprawy społeczne i filozoficzne, niepodobna marzyć o wskrzeszeniu dawnych salonów, które swą rolę dziejową spełniły tak znakomicie. Niemniej jednak, wobec wzrastającej specjalizacji wiedzy i zajęć fachowych, prelegent podkreśla odczuwaną powszechnie potrzebę zajęcia się żywego ideami ogólnymi, tym najlepszym łącznikiem między ludźmi, pracującymi w różnych dziedzinach. Rolę kobiet widzi on właśnie w podnoszeniu umysłów i serc, w przeciwdziałaniu drogą kultury uczuć i pielęgnowaniu poglądów ogólnych, zgubnym wpływom nadmiernej specjalizacji zajęć. Zabijaniu czasu przy kartach, nudzeniu się na rautach i innym tym podobnym sposobom marnowania życia, zabójczym dla wszystkich lepszych stron naszej natury, przeciwstawia on ideał zebrań towarzyskich, opartych na rozumnej, podniosłej, a jednak wesołej wymianie myśli, przypuszczając, zdaniem naszym, słusznie, że kilka ognisk takich mogłoby z czasem wyrzucić wpływ bardzo doniosły na cały poziom umysłowy i moralny, jeżeli nie społeczeństwa całego, jak twierdzi p. Szawłowski, to chociaż tak zwanej inteligencji.

Wł. Bukowiński.

## Mściwoj

Księżę Obotrzytów

TRAGEDYA W 5-ciu AKTACH

napisał

Jerzy Osioja.

(WYJĄTEK).

(Dokończenie).

SCENA 5.

(Ciż bez Bernarda).

TEODORYK (do Kuno).

Więc nic nie wiecie?

KUNO.

Staliśmy u brodu.

Ledwo szarzało,—my skryli się w gąszenie—  
Zagony wczoraj wysłane, wróciły,  
Bez żadnej wieści. W tem coś błyska zdala

My cicho—zwolna, z za zarośli, konno  
Wyjechał rycerz,—i stoi—Patrzmy:  
Niemiecka zbroja... nasz? nie nasz? i zkądby?  
Poznać nie można dobrze bo daleko.  
Nagle się zwrócił—coś jak puszczyk wrzasło—  
I zniknął—cicho! A, Benno nam szepnął:  
„To on, nie puszczyk! To Słowianin!“ Oni  
Człowieka zwietrzają jak psy na odbytość.  
Zwietrzył, i znał dał—musi ich być więcej—  
Więc czterech za nim. Gdzie—bagniska! Konie  
Po brzuch zapadły; musielim wyciągać.  
Jeszcze radzimy nad tym psim narodem,  
Co po moczarach jakby czapla łązi,  
Aż tu znów człowiek! A ten już nas widział,  
I sady prosto k'nam. Któż tu ma śmiałość  
Iść do rycerzy niemieckich sam jeden,  
Bez żadnej zbroi? Chyba opętany —  
Więc jeden z naszych, z żartów, tak naciągnął,  
I woła: „Schyl się, strzelam.“ A ten idzie.  
Więc puścił strzelbę. Musiała mu świsnąć  
Gdzieś koło ucha. Ale on i nie drgnął,  
Tylko powoli rękę wznosił do góry,  
Zrobił znak krzyża k'nam, i szedł dalej.

(Wskazuje na Oldrzycha).

To był ten.

TEODORYK.

Dobrze, wiem resztę. Powracaj do Benna,  
Powiedz że liczę nań. Toż Mściwojowi  
Byli rycerze koło was, a zbroje  
On ma niemieckie, lub włoskie zdobycze.  
Więc bądźcie czujni!

KUNO.

My też czujni, panie.

(Odchodzi).

## SCENA 6.

(Ciąż bez Kuna).

TEODORYK (do Oldrzycha).

Ktoś ty?

OLDRZYCH.

Kto jestem? Nikt, liść zżółkły, stary  
wiatry boże niosą poprzez pola.

(Do Volkmera).

wyście, panie, biskupem tych krajów,  
i głowę schylam przed wami w pokorze,  
tu jest pismo k'wam.

(Oddaje pergamin).

VOLKMER.

List od Papieża.

(Całuje pismo i czyta).

OLDRZYCH (do Teodoryka).

to, z cesarskiej kancelarii do was

(Podaje również).

TEODORYK (czyta list).

drość pisarska! Kiedy tu wre wszystko  
Ten mi gołąbek liść oliwny niesie.

(Do Volkmera).

Czy wiesz, Wielebny, co mi nakazano?  
Wraca nam tutaj całkiem nowy Mściwoj  
Już nie podwładny mój, lecz sprzymierzeniec  
Nam wszystkim równy brat, cesarstwem lennik;  
Cesarzowa mu sama dzie wosłębi  
O rękę córki mej. Wszak dość widziałem  
Tych chrzczonych książąt, sprzymierzeńców  
[wiernych,  
Ze już obmierza mi wierność słowiańska,  
Ale nie przyszło mi jeszcze zwać bratem  
syna słowiańskiej matki. Za tę przyjaźń  
ma ukoić wzburzone umysły.  
Więc rycerzy odesłać do domów!

VOLKMER.

szlachocny Boże

TEODORYK (do Oldrzycha).

Toż się postarałem

go tu przyjąć, i wysłałem ludzi,  
go przywiódą w mój dom.

OLDRZYCH.

Sam tu przyjdzie

TEODORYK.

Nie sam nieprzyjdzie; zamknięto dziś drogi.

OLDRZYCH.

W leśnych moczarach dróg jest wiele, panie.

TEODORYK (z uśmiechem).

Co? Czy ty wiesz ktom ja i co mój rozkaz?

VOLKMER (do Oldrzycha).

Ciebie poleca mi pobożny bracie,  
Ojciec nasz święty, jako apostoła.  
Do ziem pogańskich księcia Obotrytów.  
Witam cię bracie, lecz żałuję ciębie!  
Boś ty zaufał jak gołąb niewinny  
Chytremu panu. Niewierz gładkim słowom;  
Patrz, opuszczony, z mej świętej stolicy,  
Ledwom tu znalazł schronienie. I za co?  
Bom światło nauk, obyczajów gładkość,  
Co wiek nasz stawia ponad przeszłe wieki,  
Wszczepić chciał w twardych łbów pustynie —

Ze wszystkim do nich, z nauką i z władzą,  
I z ręką hojną, i z prawa karnością —  
A ty—czyż myślisz, tobie posłuch dadzą?  
Z czymże ty przyjdiesz?

OLDRZYCH.

Przychodzę z miłością.

TEODORYK.

Z miłością? lecz, w tem wielka jest zawisłość  
Czy jeszcze miejsce będzie na twą miłość—  
W imię prawd świętych, naszej boskiej wiary.  
Litości minął czas—przyszł ci czas kary!

OLDRZYCH.

Więc te na łańcach stratowane kłosa,  
Przekleństwa rannych bijące w niebiosy,  
Swad pogorzeli, krwi cuchnące morze,  
To jest dla ciebie, miłosierny Boże!  
Na rozkaz twój, za ledwo ziemię trąca  
Przelotny promyk wiosennego słońca,  
Aby się wszystkie w niej ruszyły soki  
I drzewa zieleń wzniosły aż w obłoki;  
Ale ci mieczem trzeba u ludzkości,  
Dobyc serca, rozpruć wężeczności,  
By wsiąknąć mogło przez te krwawe szpary  
Łagodne ciepło słodkiej twojej wiary!

TEODORYK.

Ktożes ty, mów! Chybaś ty Słowianin?

OLDRZYCH.

Tak, jam tej ziemi syn, widziałem z młodu  
Najście waszego, klęskę mego rodu.  
Lecz po co słów! Zmarły me dawne bóle  
I poniżej dumy szal, i skarga;  
Ukoić Bóg całą duszy niedole.  
Lecz słowo, jak żyjący człowiek, targa  
Strunami serca, pamiątki z grobów budzi,  
I może posiać gorycz między ludzi.  
Jam stary kapłan dziś, z rzymskich klasztorów  
Samotny mnich, raczej pustelnik z borów,  
W które zaszedłem, by nie słyszeć wieści  
O ludziach, i przebyłem lat trzydzieści.

VOLKMER.

Bóg przedziwni prowadzi nas drogi!  
Jakżeś więc wrócił tu po latach tyłu?

OLDRZYCH.

Przyszł na puszczy do mnie książę Mściwoj  
Mój syn serdeczny! On dumny a korny,  
Wesół jak dziecko, a czuciem głęboki—  
Posłyszał o mnie, i przyszedł; rodzimą  
Już zapomnianą prawie mówił mową.  
Jakie my z sobą przeżyli wieczory!  
W gwiazdzistej ciszy, gdy bór tylko szumiał,  
On mi przyszłości czary wieścił nowe,  
A jam wskazywał mu Boga pokory,  
Miłości i przebaczeń. On rozumiał  
Wreszcie mi rzekł: „Chodź ze mną! Służbą wierną  
Rzutkością głowy i konia, jam zyskał  
Cesarza miłość i ufność niezmierną.  
Nie będzie kraju mego nikt uciskał!  
Lecz chcę, niech nowe życie w nim się zbudzi...  
To coś mnie uczył, chodź uczyć mych ludzi,  
Panie, więc idę,—może Bóg przebaczy,  
Zem kiedyś zwątpił o nim w mej rozpacz.“

(Chwila milczenia).

Potem mi wieścił, panie, jak sen złoty:  
Zwał to naszego cesarza snem, pomnę:  
Jedno mocarstwo, olbrzymiami sploty  
Wiążące ludy, jakby świat ogromne!

TEODORYK.

Nasze cesarstwo!

OLDRZYCH.

Tak, naszych cesarzów,  
Lecz nie niemieckie ono, nie słowiańskie.  
Lecz ludzkie,—albo boże, bo chrześcijańskie.  
Bo mówił zmarły cesarz. „Nie handlarzów  
Wzorem ja będę zgartywał narody,  
Cudzemi łupy tworząc tu mocarzów.  
Jam namaszczony strażnik praw i zgody,  
Obrońca słabych, zawistnych rozjemca,  
Pan Słowianina, i Włocha, i Niemca;  
Nad berłem mojem tylko krzyż jest boży,  
I krzyż pod berło moje ludy korzy.“

Boże, toż okiem duszy mej ogarnę,  
Jak złotych kłosów fale w chleb ciężarne,  
Bezlik narodów, prawdy twej podmuchem  
Zgodnym, swobodnym skołysany ruchem!  
Toż widzę, siola rozkwitły i grody,  
Widzę, na wolne od korsarzów wody,  
Gdzie zysk wesoły i przygoda wabi,  
Wzleciał, jak białych ptaków, sznur koralu,  
Z pieśnią żeglarzy, mimo fal i prądu,  
Nosi twe dary od ładu do ładu!  
Boże litościwi! dasz rękami memi  
Do twej budowy donieść grudkę ziemi?  
Toż ja tym biednym, ja ostatni, niosę  
Ciebie samego, serce ożywcza rosę,  
Ciebie, o którym może źle słyszeli;  
Nie Boga wojen—wszak oni go mieli,—  
Nie Boga skarbów,—wszak mu stroją liczne  
Kontyny w złoto i wianki pszeniczne.  
Lecz Ciebie, Boga dusz, co tajemnicze  
Poruszasz struny serca, choć Cię nie znały  
W poszeptach łąni, przez puszcze głuche dziecie,  
Ty pocieszyciel, ślesz duszy zbolalej;  
Jak zdala, dzwonu niewyraźne brzmienie:  
„Miłość i pokój, miłość przebaczenie!“

TEODORYK.

Amen!

VOLKMER.

Tak, amen! to są słowa z nieba!

TEODORYK.

Lecz cóż ty sprawisz sam? Lat na to potrzeba  
I takich stu jak ty, przez lata wszędzie.

OLDRZYCH.

Panie, ktom ja? czyż lepszych stu nie będzie,  
Byle powstrzymał kto ten jad, co tryska  
Tam, gdzie dwa ludzkie zetkną się mrowiska.

## ZMIANA SCENY.

Sala w tymże zamku, mniejsza niż poprzednia.  
Na ścianach malowidła w stylu bizantyńskim,  
między innymi po prawej stronie obraz Matki  
Bożej. W głębi okna i wielkie drzwi otwarte  
na krużganek i świątecznie przystrojony dzie-  
dziniec zamkowy. Krużganek o tyle wzniesio-  
ny nad dziedzińcem, że ledwo ludzie na prze-  
ciwnym końcu dziedzińca mogą być widziani.  
Nad otwartymi drzwiami na zewnątrz baldachim  
z jedwabnych materyj. Pod baldachimem siedzi  
tyłem do sceny Teodora otoczona kobietami,  
dwóch rycerzy z wyciągniętymi mieczami jako  
straż za nią. Obok niej Bernard, dalej inni.  
Wszyscy z oznakami wielkiego zajęcia patrzą  
ku dziedzińcowi. Przy podniesieniu kurtyny sala  
próżna. Na dziedzińcu hałas, szereg broni i t. d.  
(Widzowie na krużganku powinni całkiem za-  
stawić widok na dziedziniec).

## SCENA 7.

(Jak wyżej).

BERNARD (powstając, głośno ku dziedzińcowi).

Dosyć, zwyciężył! Tu mu nikt nie prosta!  
Nieznany, rycerz zwyciężył! skończony  
Turniej! ogłosić! Niech żyje zwycięzca!

(Wielki okrzyk. Kobiety powiewają chustkami).

TEODORA (*zrywa się z miejsca i biegnie ku obrazowi Matki Boskiej*).

Królowo niebios, ratuj go!

GERTRUDA (*za nią*).

To Mściwoj

TEODORA.

I tyś poznała? O ruch jego każdy  
To śpiew!

GERTRUDA.

Lecz teraz musi twarz ukazać:  
Cóż rzekną gdy go ujrzą w pośród siebie?

TEODORA.

To wszystko jego rozjuszone wrogil  
(*Kładzie obie ręce na obraz*).

Matko Najświętsza, ty hufce aniołów  
Masz na skinienie dobrotliwej łaski—  
Ja nie mam matki, to życie jak olów  
Cięży. O czemużby kochania blaski  
Niemiały błysnąć mnie—choćby jednego  
Aniela zesłij! ratuj, ratuj jego!

BERNARD (*na krużganku*).

Tak twarz ukazać! Imię twoje, imię!  
Dosyć tajemnic! Musim przecie wiedzieć  
Kto nam tu całą młodzież poobalał.

TEODORA *nasłuchuje, potem biegnie szybko na krużganek*).

Nie wolno! jam tu panią dziś! nie wolno!  
(*Do rycerza od straży*).

Idź, ogłoś wszystkim, że mnie się należy  
Pierwszy rycerza tego hołd! Przedemną  
Nikt nie śmie jego miana znać, tajemną  
Obaczyć twarz, nim on mi wszystko zwierzy  
Idź!

## SCENA 8.

(Przez boczne drzwi po prawej wchodzi Teodoryk i Volkmer).

TEODORYK (*wchodząc na salę do Teodoryka*).

Cuda mówię wam, to były cuda.  
Widziałem z ręcznych i wiem co jest siła,  
Ale ten rycerz jak wiewiórka zwinny,  
A łapę twardą ma jak sto niedźwiedzi

TEODORYK.

Więc po igrzyskach już? Cóż to za rycerz?

BERNARD.

A to w tych cudach także cud;—nieznany  
Z twarzą zakrytą przybył; twoi ludzie  
Wpuścić nie chcieli, lecz on kazał prosić  
U Teodory, by mu pozwolono  
Walczyć nieznanym aż turniej się skończy

TEODORA (*zbliża się do nich*).

Ojeze, kto panem dziś? wszak ja? i przed kim  
Ma się ten rycerz winy swej spowiadać?  
Tu wszystko twoje, lecz mój dzień dzisiejszy,  
Boś mi go dał;—ja proszę więc, ja żądam,  
By wszyscy wyszli, tylko my kobiety  
Złożymy sąd nad jego tajemnicą:  
Czemu chciał walczyć bez miana, być niczem  
Z zakrytą twarzą przed naszym obliczem.

BERNARD (*glaszcząc córkę*).

W państwie cesarzem cesarzowa, a u mnie  
Zaczyna moja dziewczka rządzić dumnie  
A wyrósł zamek mój i tak w mocarstwo;  
Rządźcież kobiety, bawmy się w cesarstwo.

(*Do rycerza ze straży*).

Idź prosić wszystkich do biesiadnej sali,  
A tu zwycięzca niech się stawi. Chodźmy.

## SCENA 9.

(Rycerze krużgankiem wychodzą i dziedziniec się zwolna opróżnia. Kobiety wnoszą krzesło Teodory do sali. Teodora siada tyłem do widzów. Kobiety ją otaczają. Ta scena niema trwa póki się krużganek całkiem nie opróżni).

TEODORA (*nagle się zrywa do kobiet*).

Wydźcie ztąd wszystkie, ty zostań Gertrudo  
(kobiety wychodzą przez boczne drzwi na lewo).

Gertruda idzie ku oknu na prawo i siada przy niem tak, że może być niepostrzeżoną ze sali). Przez wschody naprzeciw drzwi wbiega Mściwoj. Zbroja na nim bardzo bogata. Przez chwilę może być widać, iż twarz ma zakrytą siatkową zbroją, jak koszulka, w rodzaju zbroi z kapturem dziś jeszcze używanej w niektórych stronach na Kaukazie. Ukazując się, odwraca kaptur.

MŚCIWOJ.

Królowo mojal—co, Mściwoj nie zdzierzy  
Swoich przyrzeczeń? Jak w łowczej obieży  
Dzik, to kłębem przerwie, to chyłkiem obławę,  
Tak jam się przedarł aż tu.

TEODORA.

Me oczy kłamią sercu; lecz w tej chwili  
Przyszedł strach targać mą szaloną radość.  
Mściwoj, o patrz, co oni nam zrobili.

MŚCIWOJ.

Dziecko precz z strachem! Strach ma brzydką  
[bladość,  
A ja przyszedłem, wzięsć mych trudów wieniec:  
Promyk miłości, ohoty rumieniec.

TEODORA.

Mściwoj, twój głos gra na mnie, jakby lutnię  
Muzyk,—czarodziej palcami przebiegał;  
Choćby się w duszy skargi ton rozlegał,  
Albo tęsknica brzęcząc nudno, smutnie;  
Gdy ty przemówisz, wszystko się rozściela  
W przedziwną pieśń tryumfu, wesela.

MŚCIWOJ.

Więc się nie boisz już? Nie bój się o mnie,  
Mściwoj nie pójdzie się błąkać bezdennie.  
Jak długo działa ów czar, twoja miłość,  
Choćby me losy zeszyły na pochyłość,  
Choćbym pod ziemię wpadł; ja się wygrzebię  
Zdrów, cały, silnie kochający ciebie.

TEODORA.

Mój pan! mój mąż! Lecz kiedyż mój mąż? po co  
Te wojny? Czego, czego chcą ci ludzie?  
Dotychczas ciężką mą samotność złością  
Naszej przyszłości sny; jakby o cudzie,  
Marzę o jasnym dniuach gdy przed cesarzem  
Tyś ją rozwijał, jak obrazu kartę.  
Nasz ślubny ołtarz, miał zostać ołtarzem  
Zgody tych ludów! Cóż więc? dziś nic warte  
Słowa cesarskie, bo zmarł? a zań rządzi  
Kobieta? więc nie? Czemuż nie kobieta?  
Bo serce włada nią, a serce błądzi?  
Ach lecz w jej sercu przeżyje, podnieta,  
Którą szlachetna mężka ręka wszczepi,  
Sto mężkich burz! Ach, może słodziej lepiej  
Ręką przesłiznie po zjeżonych dumach;  
Weselszy ogień wznieci w naszych tłumach,  
Ukoj te, co pokój ludów ryją  
Zawiści mężczyzn, dumnych, że się biją.

(Przy ostatnich, pół żartem powiedzianych słowach podnosi ręce jakby się na szyję chciała rzucić Mściwojowi. W tej chwili Gertruda, która równocześnie nasłuchiwała ku drzwiom, zrywa się, podbiega ku nim, odsuwa ich ręce i staje między nimi. Prawie równocześnie wchodzi z prawej Teodoryk.

## SCENA 10.

(Mściwoj, Teodoryk).

TEODORYK (*wesoło*).

Więc już po sądach? Odejdź moje dziecko.  
Teodora i Gertruda wychodzą. Teodora zostawia za sobą drzwi na pół otwarte).

TEODORYK (*dobrodusznie, bez ironii*).

Książę, przybywasz nam nieco zdradziecko  
Jakże ja teraz godnie przyjąć zdążę  
Pana, pełnego sławy i faworu  
Przedostojnego cesarskiego dworu.

MŚCIWOJ.

Wyciągasz dłoń, jam przyszedł podać książkę,  
Niezrażon nawet—to wojenne czasy  
Ze twych zasadzek jeszcze pełne lasy.

TEODORYK (*jak wyżej*).

Czyż mogłem ufać? Żal mi teraz srodze,  
Lecz ja—jak żóraw śpię na jednej nodze.

MŚCIWOJ.

A przecie tyś mógł ufać; iluz cheecie  
Lat, trudów, krwi, tych życia chwil próbnych,  
Gdzie ludzkie serce los, jak w wałkach drobnych  
Zważy, że myłki na włos nie znajdziecie?  
Czem z wami związać się, że równą zgubie  
By była zdrada? Jakiej dobiedziesz mety?

TEODORYK (*pobłażliwie, przyjaźnie*).

Książę, ty w sobie masz nieco z kobiety,  
Więc cię kobiety lubią, i ja lubię;

(*Stanowczo*).

Lecz gdy za drugich służbę odpowiadam,  
Zamykam oczy sercu, głową władam.

MŚCIWOJ.

To mimowolne wyrwało się słowo,  
Bo nie, c twoje ku mnie czucia, dbałość  
Zamknęła oczy baczne na mą całość,  
I mnie należne względy. Lecz my głową  
Damy odpowiedź za jedno oboje.

TEODORYK (*zimno*).

Tak, każdy swoją, i każdy za swoje,

MŚCIWOJ.

Nie, ty wiesz dobrze, że obaj za jedno.  
Z woli przed którą nasze wole błędną  
Stają przed tobą; przysięgłem, że stanę.  
Majestat życia chcę tych krajów ranę,  
Krzywd naszych starych rachunek przemazać;  
Czegóż wiecej trzeba by ten bunt zażegnać?

TEODORYK (*gniewnie*).

A któż powiedział, że ja chcę zażegnać?

MŚCIWOJ.

To rozkaz z góry.

TEODORYK (*pogardliwie, coraz gniewniej*).

I któż to nakazał?

MŚCIWOJ.

Rządzący państwa.

TEODORYK (*hamując się ale z pogardą*).

A, tak cesarzowa;

Bardzo bywają piękne niewiast słowa,  
Ale nie zawsze dla nas mężczyzn jasne  
Więc gdzie mi pojąć trudno, muszę własne  
Dołożyć zdanie. Lecz to niewiast żarty!  
Jam człek wojenny, prosty i otwarty,  
I tem mi miłszą im krótsza jest sprawa:

(*Hamując się ale bardzo stanowczo*).

Książę, wysoko cenię twe przybycie,  
To mým zamysłem powagi dodawa:  
Może już jutro wyruszym o świecie,  
(*Wybuchając gwałtownie*).

Ogniem i mieczem, mordem i pożogą  
Zniszczyć bunt! oba! Rady czekać mogą.

MŚCIWOJ.

Kto? ja?

TEODORYK.

Ty, zemną.

MŚCIWOJ.

A toż kto powiedział?

TEODORYK.

Ja.

MŚCIWOJ.

Jakim prawem?

TEODORYK.

Jam w księgach nie siedział

Prawnych więc zwę to prawem mojej dłoni  
Ktoś jest—zostaniesz!

MŚCIWOJ (*mimowolnie chwytając za miecz*).  
Co?

TEODORYK (*grubiańsko*).

Daj spokój broni;  
Więcej mam mieczów niżli ty znieść zdołasz:

(*Z nienawiścią*).

Książę na kogo ty się powołasz  
Czyjeś ty łaski nie podszedł zdradziecko

MŚCIWOJ.

Zdradziecko? ja?

TEODORYK.

Ta ziemia krwią niemiecką  
Złana! I już mam przestać jej obrony,  
Bo nagle wiatry wieją z innej strony?  
Toż dmuchnę ja tym wiatrem zawieruchą,  
Że aż się schmurzy słońce twej nadziei!  
To może nawet być o tobie głucho.

MŚCIWOJ (*spokojnie, z pogardą*).

Szlachetne godło, każ wykuć na bramie,  
Tej gościnności, która opór łamie.  
Ba, kto zna jutro? Lecz ci powiem panie  
Ten bunt zrobiłeś ty, a nie Słowianie.

TEODORYK (*bardzo grubiańsko*).

Za to ja głową odpowiem do woli,  
A ciebie o to głowa niech nie boli.

## SCENA 11.

(Ciż, Teodora).

(Przy ostatnich słowach, wchodzi niepostrzeżona przez obu Teodora spokojnie, ale z widoczną, stanowczą decyzją, choć z oznaką głębokiej pokory bierze Mściwoja za rękę, i w chwili gdy ją ojciec spostrzeża, całuje rękę, potem klęka. Milczące osłupienie).

TEODORA (*spokojnie ale dobitnie*).

Klękam przed tobą, mężu mój i panie,  
Choć ślubów jeszcze książdź nie błogosławił,  
Tobie mnie przyrzekł ojciec, więc postanowił  
Sam Bóg, pod twojej woli rozkazanie.

TEODORYK.

Wstań

MŚCIWOJ (*schyla się by ją podnieść. Z tklivym wyrzutem*) To szaleństwo. (*Mówiąc te słowa półgłosem prawie do ucha Teodory całuje ją ukradkiem w twarz około skroni*).

TEODORA (*wstając, półgłosem, spokojnie*).

Nie ja wiem co robię

(*Głośno*).

Więc pókiś w zamku tym, stoję przy tobie.  
I nie ma dla mnie ojca, rodu, domu;  
I nie ma żaru, ni męki, ni sromu,  
Co by oderwać mnie mogły od ciebie!  
Gdzie cię pogrzebią i ja się pogrzebię,  
I nie ma siły, przełamać mnie zdolnej,  
Chyba śmierć jedna.

TEODORYK (*ponuro*).

Książę, jesteś wolny.

(*Zastona szybko spada*).

KONIEC AKTU I-szego.

## Z WYSTAWY OBRAZÓW

KLASS-KAZANOWSKIEJ

w Salonie Artystycznym.

Taka jest dola wszystkich niemal artystów, że z nekrologów dopiero ogół dowiaduje się o ich istotnej wartości, i o tem, ile owe serca czujące gorąco, nękane częstokroć walką z nędzą, z najrozmaitszemi niepowodzeniami, i przeciwnościami, i losu, wycierpiał na ziemi!

Bardzo stosunkowo nieliczne są wyjątki którym się udało za życia zdobyć sławę i uśmiech fortuny, w większości zaś wypadków, na grobie każdego z artystów można by śmiało wyrzeć owe słowa poety:

„Jak Dant za życia przeszedłem przez piekło!”

O ileż jeszcze więcej trudności i zawodów spotykać musi kobieta, pozbawiona środków materialnych, gdy wrodzone zdolności i zamiłowanie piękna skłoniły ją do obrania ciernistej ścieżki wiodącej do świątyni sztuki,

Sława Bielińskiej dopiero po jej śmierci rozbrzmiała w całym kraju, malarstwo nasze słusznie się nią szczyci, a jednak jakże gorzką i smutną była jej dola za życia!

Dziś mamy przed oczyma dorobek artystyczny zmarłej w całym rozkwicie swego talentu, ogromnie uzdolnionej artystki malarki Klass-Kazanowskiej. Jest to również ofiara ciężkiej walki o byt, która podcinała jej skrzydła wczesnie rozwinięte do lotu, zdrowie jej, pracą nadwątlone, nie zdało dłużej wytrwać i opierać się owym codziennym udręczeniom, w których ostatek sił się wyteża aby widmo nędzy od siebie odtrącić;—znowu więc nowa mogiła skryła w swej głębi młodą jeszcze, a żywo czującą istotę, której dusza rwała się w świat piękna i ideału, a warunki życia jakby gwoździami tortur moralnych, raniły wciąż, i przykuwały do szarej, nędznej, prozy życia!...

Przeszło dwieście jej prac zebranych na obecnej wystawie, pozwalają nam podziwiać różnorodność jej talentu, a zarazem sumiennosc z jaką traktuje każdy szczegół.

Widocznie ukochała ona prawdziwie naturę, nie szukając nigdzie sztucznych efektów, nie reklamując swego talentu dziwacznością pomysłów, nie wstrząsając nerwami widza, który częstokroć odchodzi od okrzykanego zawczasu pseudo-arcydzieła, mówiąc w duchu: „Nic absolutnie z tego nie zrozumiałem, ale ostatecznie

musi tam być „coś“ jeśli ludzie tak wiele o tem gadają i piszą!”

Klass-Kazanowska nie uległa modnym wpływom modernizmu, ale za to znajduje poezję w każdym wprost z życia wykrojonym obrazku, ją wszystko interesuje z artystycznego punktu widzenia, czy to twarz pomarszczona staruszki, czy stos spiętrzonych kamieni, czy też niebo w swych nieskończonych odmianach barw, zda się czasem nieuchwytnych.

To też szkice jej są to jakby otwarte na świat Boży okienka w złotą ujęte ramkę. Przesuwają się tam jak w kalejdoskopie pola,—lasy,—zagonny,—tu widnieje łan buraków, tam znow stado owiec, a czy to zwierzęta czy ludzie, czy opustoszały jakiś zakątek, wszystko tu jest szczerze, proste, bez niedomówień, ani też bez ubarwień, jednak pełne nieopisanego uroku, ot! niby dźwięczna nuta ludowej piosenki!.. Każdemu się zdaje że właśnie taką kobietę z wiazką drzewa na plecach, spotkał gdzieś kiedyś w płonących tak samo jak na tym obrazku blaskach zachodu, że szedł taką drogą leśną, i że takie stadko gęsi z wesołym gęganiem zabiegło mu drogę. A te dzieci siedzące w lesie, zasłuchane w śpiewną melodję fujarki?... A zbiedzona szkapka chłowska? A dziewczyna pod krzyżem z ufnością zanoszająca modły?—kobiety zajęte budową lub bieleniem lepianki?... Jak tu wszystko tętni życiem, jakie jest proste, bez kunsztownych komplikacji, nie targające naszych nerwów chorobliwymi wizjami, ale głęboko odczute, i tą prawdą przemawiające wprost do duszy.

Nie dziw więc że Salon Artystyczny któremu zawdzięczamy urządzenie tej wystawy, odwiedany jest licznie, i że wiele prac tam zebranych, już zostało zakupione przez amatorów sztuki.

Dochód ze sprzedaży obrazów przeznaczył mąż zmarłej artystki na stypendjum jej imienia, korzystać więc z niego będą pracownice walczące jak niegdyś ona z przeciwnościami losu; a tak hojna ofiara w celu uczczenia pamięci, przedwcześnie zgasłego talentu, zasługuje ze wszechmiar na uznanie, i na podtrzymanie ze strony ogółu.

Jerzy Orwicz.

Do dzisiejszego numeru „Bluszczu“ dołącza się: ark. 9-ty powieści, p. t. *Dwóch ludzi*, przez Idę Boy-Ed. Przekład Z. S.

## OD WYDAWCY.

„Bluszcz“ w przyszłym kwartale wychodzić będzie pod dotychczasowymi warunkami.

Szanownym prenumeratorom z prowincyi przypominamy wczesne wznowienie prenumeraty, dla uniknięcia zwłoki w przesyłce numerów.

**Treść:** Dzieci i przyroda, przez J. Moszczeńską. — Kazimierz Gliński. Krzywda. Powieść (dalszy ciąg). — Odczyty. VI., przez Wl. Bukowińskiego (dokończenie).—Mściwoj, tragedia w 5-ciu aktach, napisał Jerzy Ostojka (dokończenie).—Z wystawy obrazów, przez Jerzego Orwicza.

**Dodatek obejmuje:** *Dwóch ludzi*, powieść, przez Idę Boy-Ed. Przekład Z. S. arkusz 9-ty. — Przegląd mód. 22 wzorów i robót z opisem. Sekreta gospodarskie.—Dyspozycya obiadu.

Warszawa.—W Drukarni i Litografii Tow. S. Orgelbranda Synów, Krakow.-Przedmieście № 66. Redaktor odpowiedzialny Michał Glücksberg.

Дозволено Цензурою.—Варшава, 26 Мая 1899 г.



**Laufer na stół do roboty.**

Rycina Nr 23 w Bl. Nr 22. (Deseń pierwsza strona tablicy fig. 63).

Ładna ta serwetka na 80 ctm. dług. a 35 ctm. szerok., zrobiona została z filcowego materiału koloru ciemnej terracotty i ozdobiona haftem, którego wykonanie niezbyt wiele trudu kosztuje. Brzegi oszyte są frendzlą, a wyszyte złotym, japońskim sznureczkiem. Haft i aplikację wykonać podług rysunku fig. 63, podług której wykroić potrzebne figury i przyszyć do tła złotymi niemi, znanym ścięciem obejmującym. Aplikacja jest z zielonego filcu, a tegoż koloru jest podszewka całości.

**Serwetka do salonu.**

Rycina Nr 25 w Bl. Nr 22.

Serwetka ta zrobiona została z mieniającej się materii koloru różowo-białego, przerobionej w adamaszkowy deseń ciemno-różowej barwy. Całość wynosi 55 ctm. a frendzla ma 2 ctm. szer. Adamaszkowy deseń, wyszyty jest wzdłuż konturów zieloną filozellą ścięciem gałązkowym i płaskim, co podnosi efekt całości, nie kosztując zbyt wielkiej pracy. Ale przed wykonaniem haftu, należy serwetkę podszyc gazą i rozpiąć w krosnach, po wykonaniu zaś takowego podbić całość podszewką.

**Suknia letnia z fularu.**

Rycina Nr 1.

Rycina przedstawia elegancką tualę z białego fularu w pasowe kropki. Fason odznacza się tu wielką pomysłowością i oryginalnością, gdyż polega na spódnicy z przodu otwartej, o zaokrąglonych rogach, naszytej trzema pliskami i ukazującej bryt z tegoż fularu, założonego w drobne wypustki ze sznureczkiem wewnątrz zaszytym. Podobnie cały stanik zaszyty jest w wypustki, wycięty pod szyją i pokryty żuawką z gładkiego materiału, objętą gipiurą bordiurą. Wycięcie podciągnięte zostało gazą i zakończone stojącym kołnierzykiem z aksamitkami, spiętymi na klamerki.

**Suknia spacerowa z aplikacją.**

Rycina Nr 2.

Podana tu suknia zrobiona została z czerwono-brązowego sukna i ożywiona przybraniem z koronkowych aplikacji, wykonanych na czarnym tiulu z podkładem jedwabnym koloru „beige.“ Aplikacja powtarza się na spódnicy z trzema rozchodzącymi się na przodzie falbanami i na staniku, który w zupełności pokrywa, tworząc spięcia w kształcie patek i przedłużając się na kołnierzyku „Medicis.“ Rękawki sukienne posiadają niewielkie epoletki i wypustki na ramionach.

**Sukienka dla dziewczynki od 5—6 lat.**

Rycina Nr 4.

Rycina podaje sukienkę z wełnianego muślinu w białe i pasowe paski, przybraną białym kanausem i szlaczkiem pasowym z białym. Fason polega na wyrzucanej bluzce z kanausowym karczkiem i takim kołnierzykiem, oraz spódnicy, zakończonej paskiem i dwiema falbankami, z których wierzchnia, wycięta w zęby a druga plisowana. Przyszyte karczka pokrywa rodzaj kołnierza, wyciętego w zęby i naszytego dwukrotnie pasową bordiurką.

**Sukienka dla dziewczynki od 2—3 lat.**

Rycina Nr 5. (Krój odwr. str. tabl. Nr XI, fig. 92—96).

Sukienka podana na rycinie, zrobiona została z różowego kaszmiru, wycięta pod szyją i naszyta plecionką, zakończoną z jednego brzegu frendzelkami. Naszyte to powtarza się na spódnicy, tworząc rodzaj pętlic, na karczku i w pasie, pokrywając przyszyte spódnicy. Wycięcie podgarniować walencienką, a rękawki pokryć bufkami.

**Sukienka dla dziewczynki od 8—9 lat.**

Rycina Nr 6. (Krój odwr. str. tabl. Nr X, fig. 79—91).

Na sukienkę tą użyto granatowego cheviot'u i białego kaszmiru, a jako przybranie służy pikotowa torsadka i biała jedwabna plecionka. Fason polega na spódnicy, zakończonej szeroką falbaną i na bluzkowym staniczku, opatrzonym szalowanym kołnierzem. Zakończenie bluzki stanowi pasek z białego kaszmiru, zapięty z boku rozetą, z pod której spada koniec szarfy na 45 ctm. długi, 32 ctm. szer., wycięty w zęby i oszyty plecionką, oraz torsadką. Podobnie naszyty jest kołnier, ograniczający na przodzie podkład kaszmirowy, naszyty plecionką i zakończony granatowym kołnierzykiem.

**Suknia spacerowa z kanausu w kratkę.**

Rycina Nr 7.

(Szkice a. i b.).

Podajemy tu opis sukni z kanausu w granatową i białą kratkę, przybranej w sposób bardzo oryginalny i nowy pliskami z sukna granatowego koloru. Te ostatnie kroić należy na 4 ctm. szer., przestębnować kilkakrotnie i naszywać na spódnicy i żakietowym staniczku. Ten ostatni otwiera się na przodzie szerokimi wyłogami, pokrytymi sukniem granatowym, ukazując kami-

zelkę marszczoną z białego kanausu. Z tegoż ostatniego zrobiona jest spódnica, na której spoczywa wierzchnia z kanausu w kratkę. Rękawy żakieciku, zarówno jak on sam, na przodach i plecach naszyte są pliskami z sukna, które mogą być zastąpione taśmą stosownego koloru. Całość tualęty uzupełnia koronkowy szal i kapelusz z białej plecionki, przybrany granatowymi piórami i agrafką dżetową.

**Suknia codzienna, przybrana wstążeczką.**

Rycina Nr 8. (Krój pierw. str. tabl. Nr VI, fig. 37—45).

Najodpowiedniejszym fasonem na suknię letnią jest forma bluzkowa stanika i gładka spódnica. Fason tego rodzaju nadaje się do wszystkich materiałów, zarówno wełnianych, jedwabnych i batystów. Nasza rycina przedstawia suknię z pasowego, wełnianego muślinu, przybraną białym kanausem. Z tego ostatniego zrobiona jest kamizelka bluzki, jej kołnierzyk, epolety, pasek i wyłogi, a prócz tego naszyte, zdobiące spódnice. Lampas na spódnicy ma 5 ctm. szer. i naszyty jest trzy razy, gładko, czarną, wąską wstążeczką.

**Suknia z żuawkowym stanikiem.**

Rycina Nr 9.

Rycina podaje suknię z białego fularu w granatowe grochy, przybraną koronką gipiurą



Nr 1. Suknia letnia z fularu.

Nr 2. Suknia spacerowa z aplikacją.



Nr 3. Ubranko dla chłopca od 4—5 lat. Nr 4. Sukienka dla dziewczynki 5—6 lat. (Kr. i op. pierw. str. tab. Nr III, fig. 21—30).

fason piękna tualę letnią. Suknia posiada plisowaną spódnicę, pokrytą rodzajem wétemu „princesse,” rozchodzącego się na lewym boku i ogarniowanego potrójnymi falbankami z gazy, których przyszyte pokrywają aksamitki czarne, naszyte przy wierzchołkach w ten sposób, że tworzą fantazyjnie rozwiane kokardy. Naszyte to wraz z falbankami powtarza się przy wycięciu, podciągnięciem czarną koronką. Ta ostatnia przechodzi również na ramiona, tworząc krótkie rękawki, do których przyszyte są rękawy długie z bengaliny, zakończone z obu stron rieszami i falbankami z gazy. Suknia trzyma się na ramionach za pomocą szelek z czarnej aksamitki.

#### Kostium angielski spacerowy.

[Rycina Nr 12.] (Krój odwrotna strona tablicy Nr VIII, fig. 56—64).

Podany tu kostium zrobiony został z angielskiego materiału w wielką kratę, przeważnie w zielonym kolorze utrzymany. Przybranie stanowią atlasowe lampasy zielonego koloru i białe sukno. Lampasy pokrywają szwy przedniej bryty i ciągną się wokoło tejsze, tworząc na przodzie głębokie zęby, poczem przechodzą na stanik, tworząc tu przedłużenie lampasów spódnicę i ograniczającą baskinę, oraz biały sukienki kolnierz. Zapięcie stanowią małe, kryształowe guziczki i pentelki ze sznureczką. Wycięcie pokrywa chemisetka z białej gazy. Dopelnieniem kostiumu jest kapeluszek ze słomki koloru „écru,” przybrany bogato pączkami hortensyi i liśmi, oraz dużą kokardą z zielonej aksamitki.

#### Serwetki do owoców, zdobne haftem.

Rycina Nr 13—15. (Desenie pierw. str. tabl. fig. 53—55).

Rycina podaje bardzo ładne



a. b. c. Nr 7.

jące wiązankę owoców. Kosze, patery i ornamentacje, wykonać należy kolorem ponsowym, owoce—białym.

#### Kosz z haftowaniem denkiem.

Rycina Nr 16. (Deseń odwrotna strona tablicy fig. 119).

Oryginalny ten koszyk z wypukłymi brzegami, prawie że kulisty, zrobiony został z brązowo-złotej trzciny i przybrany na uszkach kokardkami z atlasowej wstążki, tegoż odcieniu. Dno koszyczka uplecione z lyczka, pokrywa okrągła serwetka, mająca 20 centim. średnicy, z białego filcowego materiału. Na niej to przeniesić należy deseń fig. 119 i podług takowego wykonać haft białą i ponsową filofosą, atlaskiem i ścięciem gałązkowym, po wykonaniu którego brzegi wyciąć w ząbki.

#### Stoliczek do salonu z haftowanym blatem.

Rycina Nr 17 i 18. (Krój i deseń pierw. str. tabl. fig. 50).

Stoliczek ten ma 72 centim. wysokości, a składa się z blaciku, pokrytego ciemno-zieloną morą i wspierających go nóżek. Te ostatnie są to trzy krzyżujące się laski z sęczkowatego drzewa, polakierowane na kolor jasno-brązowy i połączone u dołu wygiętymi palczkami w kształcie litery S. W miejscu gdzie się krzyżują, przewiązane zostały sznurem splecionym z filcowej tkaniny koloru zielonego i zakończonym kwastem. Blacik fantazyjnie powycinany, pokrywa piękny haft, ograniczony torsadką i kwastami z filcowego materiału. Przystępując do haftu, który wykonany jest na kwiatach, wyciętych z tkaniny „aida” i aplikowanych na morze, przenieść należy de-



Nr 5. Sukienka dla dziewczynki od 2—3 lat. (Krój i opis odwrotna str. tabl. Nr XI, fig. 92 do 96).

Nr 6. Sukienka dla dziewczynki od 8—9 lat. (Krój i opis odwr. str. tabl. Nr X, fig. 79—91).

jedwabnym sznureczkiem. Morę przybić do stoliczka gwóźdźkami i pokryć takowe wspomnianą wyżej torsadką.

#### Kostiumy kąpielowe i czapeczki.

Rycina Nr 22—25 w Bl. Nr 24. (Krój odwr. strona tabl. Nr XII, fig. 97—114).

Pierwsza rycina przedstawia kostium kąpielowy, zrobiony z granatowego kretonu, przybrany białą taśmą, którą przeplatany sposobem naszyty został cały karcezek, pasek, kontrafaldy bluzki i falbany majtek. Przystępując do wykonania kroić należy fig. 97 i 100 w 2 częściach, fig. 99 i 101 w 1 części wzdłuż środka w całości, a fig. 98 w 2 częściach. Majtki zmarszczyć i wszyć w paski, mające 47 ctm. dług. a 2½ ctm. szer., takowe zaś oszyć falbanami na 72 ctm. dług. a 8 ctm. szer. Następny ubiór, złożony również z bluzki i majtek, stanowiących całość, zrobiony jest z barchanu w różowe paseczki i przybrany dużym kolnierzem, kontrafaldą, paskiem i wylogami na rękawkach i majtkach. Dodatki te pokryte zostały angielską saty-

i granatową materyą. Fason polega na falbanowej spódnicy i żuawkowym staniczku z pączkami i szalowanym kolnierzem z granatowej materyi. Żuawka odchylając się ukazując przód z granatowej materyi, pokryty wraz ze stojącym kolnierzem białą, gipiurową koronką. Pasek i małe pliski żuawki zrobione zostały z białej materyi.

#### Suknia, złożona z białej bluzki i ciemnej spódnicy.

Rycina Nr 10.

Wobec ciągle utrzymującej się mody bluzek podajemy tu właśnie tualę tego rodzaju. Oto czarna, adamszkowa spódnica i bluzka z białego kanasu, zakończona aksamitnym paskiem. Bluzka układana na przodzie w 2 kontrafaldy, posiada po bokach tychże wstawki z karbowanej koronki, ograniczone z jednej strony trzema zakładkami. Wstawki, stojący kolnierz i koronkowe rękawy, naszyte zostały aksamitkami w ten sposób, że się krzyżują w pośrodku i w miejscach ich przecięcia spięte są dzetowymi kłamekmi. Rękawy i kolnierz są ogarniowane koronką.

#### Ubranie na reuniony, zebrania wieczorowe i t. p.

Rycina Nr 11.

Nader szczęśliwe zestawienie różowej bengaliny i lekkiej gazy tegoż koloru podnosi jeszcze już i tak przez swój



Nr 7. Suknia spacerowa z kanasu w kratkę. (Szkie a. i b.).



Nr 8. Suknia codzienna, przybrana wstążeczką. (Krój pierw. str. tabl. Nr VI, fig. 37—45).

Nr 9. Suknia z żuawkowym stan-

Nr 10. Suknia, złożona z ciemnej spódnicy i białej bluzki.

Nr 11. Ubranie na reuniony, zebrania wieczorowe i t. p.

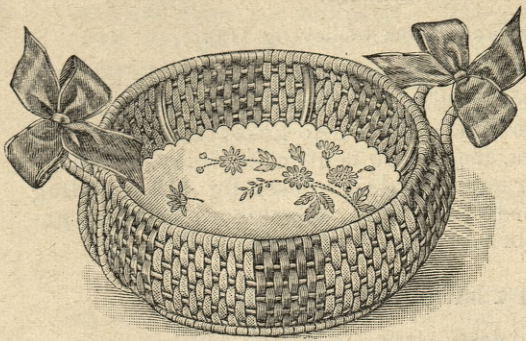
i praktyczne serwetki do owoców, zrobione z szarego batysu a mające po 32 centim. szerok. z każdego boku. Brzegi otrzone są obrębem na 1½ centim. szerokim i oddzielnym od reszty mereszka, jedna stronę zaś zdobi piękny haft, wykonany podług fig. 53—55 jedwabiami, w kolorach: białym i ponsowym. Pierwsza z serwetek przedstawia kosz napełniony owocami i otoczony 2 gałązkami z owocem. Następna serwetka przybrana jest paterą z owocem i piękna amfora z kwiatami. Trzecia deseń ryciny, przedstawia się jako ornamenty „rokoko,” okła-

seń (fig. 50) i kontury tegoż obwieść złotym sznureczkiem, zarówno jak wypełnić tło brązowawych figur z materiału „aida.” Następnie pozostałe części i płaszczyzny deseni uzupełnić ścięciem płaskim w kolorach: oliwkowo-zielonym, dzieloną filozellą, przeplatając ten kolor innymi barwami, stosownie do efektu i cieniów. Wreszcie ogólne kontury obwieść czarną chenilla, a zęby i inne części deseni podług ryciny zasnuć krzyżkami w kolorach: złoto-żółtych i jedwabiem. Zęby od wachlarzowatego środka figury oddzieli brązowym



Nr 12. Kostium angielski spacerowy. (Krój odwr. str. tabl. Nr VIII, fig. 56—64).

na, naszytą różowym sutaszem, haftem z różowej bawełny. Całość kroić należy fig. 102 i 107 w 2 częściach, fig. 105 w jednej części wzdłuż środka w całości, a fig. 104 w 2 częściach. Części pokryte satyną, a krojone podług fig. 106, 103 i 108, ozdobić haftem, wykonanym podług fig. 110 (kołnierz) i 111 (pasek). Rycina 24 podaje czapkę, przypominającą fasonem mnisi kaptur. Kroić ją należy z nieprzemakalnego materiału jasno-żółtego koloru, a brzegi objęte zieloną, wełnianą taśmą. Fig. 112 i 113 kroić w 2 częściach, zszyć je i układać w fałdy † na punkt. Następnie zmarszczyć z tyłu i przyszyć bandaże. Druga czapka ma formę czepka i naszyta jest taśmą w zęby ponsowego koloru. Kroić ją należy podług fig. 114 wzdłuż środka w całości i przedni

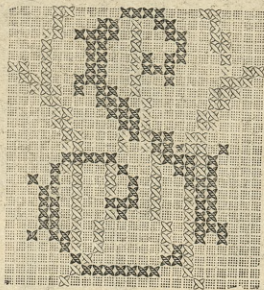


Nr 16. Kosz z haftowanym deseniem.  
(Desen odwr. strona tabl. fig. 119).

t. j. zarumieni, wyrzucić na półmisek, ubrać konfiturami, posypać cukrem i podać.

#### LEGUMINA ZE ŚMIETANY.

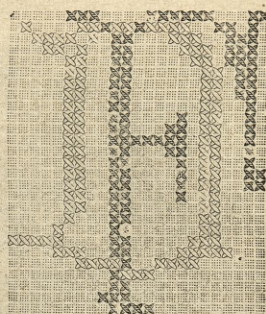
Pół kwarty dobrej, kwaśnej śmietany, półtory półtory kwaterki mąki, 7 ubitych żółtek, 2 łyżki miłkiego cukru, trochę tartej, cytrynowej skórki i mały kieliszek araku, wymieszać razem; dodać pianę ubitą z pozostałych białek, lekko jeszcze raz wszystko wymieszać, włożyć w rądel masłem wysmarowany i w wolnym piecu upiec. Podają, oblać leguminę sokiem, jakim kto lubi. Proporcya na 8—10 osób.



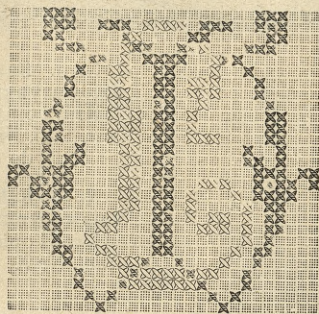
S. W.



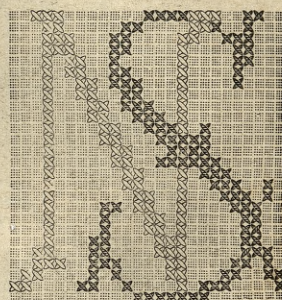
Nr 13 — 15. Serwetki do owoców, zdobne haftem.  
(Desenie pierwsza strona tablicy fig. 53—55).



D. F.



L. W.

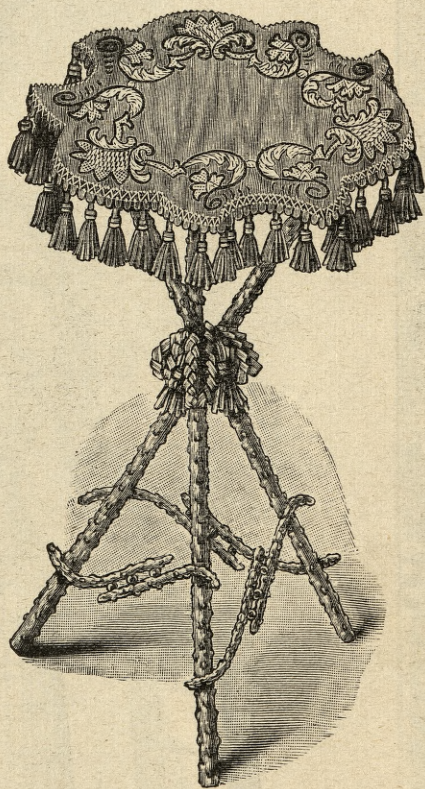


N. S.



Nr 19. Wycięta, batystowa sukienka, dla dziewczynki od 4—5 lat. (Kroj i opis pierwsza strona tablicy Nr IV, fig. 31—33).

Nr 20. Empirek dla dziewczynki od 3—4 lat. (Kroj i opis pierwsza strona tablicy Nr V, fig. 34—36).



Nr 17. Stoliczek do salonu z haftowanym blatem (do ryciny Nr 18).  
Kroj i desen pierwsza strona tablicy fig. 50.



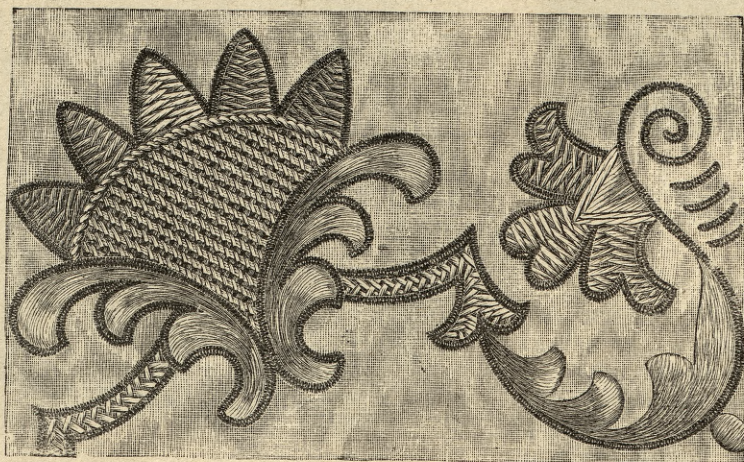
Nr 21 i 22. Bluzki letnie z batysty (Kroj i opis pierwsza strona tablicy Nr II, fig. 24—20).

brzeg oszyć falbanką, układaną w kontrafalde, mającą 130 centim. długości. Wreszcie ozdobić całość kokardkami, przyczepionymi na czubku i po bokach czapeczki.

## Przepisy gospodarskie.

### OMLET TANI.

Sześć jaj całych rozbić w garnuszku z sześcioma czubatymi łyżeczkami od kawy, przesianej mąki i dwiema łyżeczkami cukru. Rądel wysmarować masłem, wysypać cukrem, wlać ciasto i wstawić w gorący piec. Gdy się upiecze,



Nr 18. Część haftu do ryciny Nr 17.  
(Połowa naturalnej wielkości).

## Obiad na Niedzielę.

1. Zupa rakowa.
2. Paszteciki w muszlach.
3. Jesiotr w śmietanie.
4. Szparagi.
5. Polędwica z rożną z sałatą.
6. Krem śmietankowy.

UWAGA. Do dzisiejszego numeru dołącza się tablica krojów, objaśniająca wzory ubiorów i robót w tym i w przyszłym N-rze „Bluszczy” podać się mające.